Cena 10 hal.

Nr. 695. Kraków, Piątek 24. Grudnia 1915. Rok XXIII.

PRENUMERATA wynosi w Krakowie miesięcznie 2 kor., kwartalnie 6 kor., za odnoszenie do domu dopłaca się 90 hal. miesięcznie.

Na prowincyi miesięcznie z dwurazową przesyłką 3 kor. 30 h., z jednorazową przesyłką 2 kor. 70 h. Kwartalnie z dwurazową przesyłką 9 kor. 80 h., z jednorazową przesyłką 8 kor. W państwie niemieckiem kwartalnie 10 kor., w innych państwach kwartalnie 12 kor. Zmiana adresu 40 halerzy.

Cena numeru pojedynczego 10 halerzy.

GŁOS NARODU

Wychodzi 3 razy dziennie.

WYDANIE POPOŁUDNIOWE.

Listy pieniężne, przekazy na prenumeratę i inseraty nadsyłać należy franko do Administracyi „Głosu Narodu". — Prenumeratę oprócz upoważnionych agencyi przyjmuje każdy urząd pocztowy w obrębie monarchii i w państwie niemieckiem. Reklamacye nieopieczętowane nie podlegają opłacie pocztowej. — Rękopisów redakcya nie zwraca.

ADRES RED: Ul. św. Tomasza l. 35. Telefon redakcyjny Nr 190. — Telefon administracyi i drukarni Nr 3344. Adr. telegr.: „Głos Narodu" Kraków.

W Wigilię.

Gdyśmy rok temu łamali się opłatkiem, nad Krakowem unosił się jeszcze echem grzmot dział, oddalający się ku wschodowi. Razem z nim pierzchała bezpośrednia troska wojenna i myśl wśród życzeń zwracała się coraz śmielej ku nadziei pokoju. A pokój jest dla nas czemś więcej niż dla każdego innego z pośród narodów, które dzisiaj krwią ociekają. Pokój, to dla Polski nietylko zakończenie klęsk, ale ziszczenie nadziei, żywionych od półtora wieku. To też gdy w sercach naszych odbrzmiewały ufnością słowa Pisma Świętego o pokoju ludziom dobrej woli, myśleliśmy nietyle o samem zakończeniu walk, chociaż tyle naszej krwi spłynęło, nie o ostatecznem przygaśnięciu zgliszczy, z których trzeba będzie się odrodzić, lecz o końcu wojny takim, jakiego dla Polski oczekujemy. Myśleliśmy o Ojczyźnie. Silniej, goręcej może niż kiedykolwiek, z większą otuchą, z promienniejszą nadzieją. „Za rok!" powtarzaliśmy sobie, a w tych dwóch sylabach drżało wszystko, czem żyje Polak od pierwszego wystrzału, jaki padł w tej wojnie.

Zawiódł ten termin, lecz nie prysnęła nadzieja. Obliczenia najdoświadczeńszych strategów i najmędrszych statystyków rozwiały się pod wichrem rzeczywistości. Pożar bucha dalej z taką samą mocą, jak rok temu, my jednak oczekujemy jego zgaśnięcia z tą samą wiarą, jak minionej Wigilii, a kto wie, czy nie z większą jeszcze mocą. Dopóki przewidywanie ludzkie kazało uważać wojnę za krótki okres przejściowy ku pokojowi, dopóty wola nasza nie prężyła się jeszcze z taką energią, aby przetrzymać katastrofę i doczekać świtu. Przez siedmnaście miesięcy walki, której kresu na razie nie widać, wdzierało się do dusz naszych coraz szerszym strumieniem przekonanie, że długim może być czas, który przyjdzie przetrwać, że trzeba silnie ująć nerwy i dobrze napiąć mięśnie, gdyż próba nierychło minie. W ślad za tem musiało przyjść stężenie sił i zahartowanie woli. A mieliśmy w tem pomoc niemałą, bo żywimy w duszy ideał, a tylko mocą ducha krzepi się ciało człowieka czy ciało narodu. Mamy cel, który był marzeniem stulecia mąk, a dzisiaj schodzi ku nam—jesteśmy pewni—coraz bliżej w sfery materyalnych możliwości. Z niego czerpiemy moc, której nic nam nie odbierze.

Mamy i drugie jej źródło, bo samo uświadomienie sobie mocy jest już potęgą. A możemy powiedzieć to śmiało, iż dopiero kataklizm dzisiejszy otwarł nam oczy na niewzruszoność naszego trzonu narodowego, na zapas energii, czekającej warsztatu. Wyładowujemy ją teraz w krwi i w pracy codziennej, która na razie kieruje się ku tymczasowemu opatrunkowi ran narodu. Niesiemy przed sobą w przyszłość męstwo polskie, którego świetlanym symbolem jest nasz legionista, niesiemy wolę życia i niezwalczoną energię odrodczą, która dała nam przetrwać letarg i dzisiaj unosi się nad całą Polską jak zorza nowego dnia. Oświeca ona szeregi walczące, ale oświeca i mrowisko ludzkie, które krząta się na gruzach, silne nadzieją, zwarte świadomością praw, które przedawnić się nie zdołały, bośmy je wpisali w dzieje niezłomnością ducha.

Nie wiemy, jak długo przyjdzie nam trwać w tem napięciu. Ale wiemy, że ono nie osłabnie, chociaż drugi już raz święcimy wśród wojny dzień, w którym schodzi na ziemię Pan Pokoju. Ciężar, jaki przywalił nasze barki, umocnił je — i dzisiaj dźwigamy go z mniejszym może wysiłkiem, niż rok temu. Zbraknie wśród rodzin polskich przy stole wigilijnym niejednego, co odszedł, aby nigdy nie wrócić; o niejednym z bolem i trwogą pomyślą najbliżsi, przenosząc się duchem do okopów; wiemy, jak żałośnie brzmi kolenda na ciężko doświadczonej ziemi polskiej — ale mocy naszej to nie nadkruszy. Troski nasze składamy na ołtarzu naszych niezłomnych dążeń, a silni Wiarą Ojców i Ojców nadzieją, mamy dziś jedno wielkie, wspólne życzenie, którem dzielimy się jak opłatkiem. Oblatuje ono Polskę jak długa i szeroka, dociera wszędzie, gdzie brzmi nasza mowa, idzie ponad pobojowiska i przelatuje oceany. O niem tylko myślimy, gdy wszystkie głosy polskie zlewają się w jeden olbrzymi, nieuciszony chór:

„Podnieś rękę, Boże Dziecię,
„Błogosław Ojczyznę miłą!..."

Błogosław Jej i naszej dla Niej pracy.

Setna Rocznica.

24 grudnia 1815 roku.

Sto lat mija dziś od chwili, gdy ogłoszoną została w Warszawie ostatnia konstytucya polskiego państwa, Kongresowego Królestwa, nadana mu przez jego króla a cara Rosyi, Aleksandra I.

Los Księstwa Warszawskiego, które po odwrocie Napoleona z Moskwy zalały jeszcze w końcu roku 1812 wojska rosyjskie, już wcześniej zdecydował się na kongresie wiedeńskim, bo w traktatach Austryi, Prus i Rosyi, zawartych 3 maja 1815 r.; skończył się niepokój polskich dusz, miotanych zawieruchą wojenną, a potem echami wieści z Wiednia, gdzie bez narodu rozstrzygały się narodu losy. 20 czerwca ogłoszono w Warszawie oficyalnie o utworzeniu Królestwa; ale jeszcze brakowało temu Królestwu konstytucyi, brakowało rządu narodowego, na konstytucyi opartego. Tymczasem rządził — od dnia ogłoszenia Królestwa — rząd tymczasowy, z pięciu namiestników, częściowo Polaków, częściowo Rosyan, złożony, i tymczasowa rada stanu Królestwa Polskiego.

Nad konstytucyą pracowano usilnie; pracował rząd tymczasowy, pracował osobny pięcioosobowy komitet konstytucyjny. Pracującym drogę wskazywały „zasady", przez Aleksandra podane jeszcze w Wiedniu, 25 maja 1815 r., w których wyczytać mogło społeczeństwo polskie i te słowa, że nową konstytucyę na poprzedniej oprzeć należy, konstytucyi Księstwa Warszawskiego, lecz z ulepszeniami i poprawami, by „stać się mogła zupełniej narodowa i zbliżyć do ustawy 3 maja 1791 w miarę, o ile różnica okoliczności i czasów pozwala". Rosły nadzieje, mimo, że w komitecie senator Nowosilcow zasiadał. Ale to liberał był wtedy, podejrzywany o skłonność do Polaków.

Aż wreszcie podpisał w Warszawie konstytucyę Aleksander, dając jej datę 27 listopada, choć podpis położył kilka dni później i wyjechał; w trzy tygodnie potem, w wilię Bożego Narodzenia 1815 r. jako w rocznicę urodzin Aleksandra śpiewano Te Deum w katedrze św. Jana, obejmowały urząd nowe władze, a Nowosilcow dla władz obiad dawał.

A było się z czego radować. Życie dano nowe państwu polskiemu, choć na kawałku tylko polskiej ziemi, ledwie siódmą część obszarów Rzeczypospolitej, piątą ludności obejmującym, społeczeństwu wolną myśl i warsztat do pracy, sercu nadzieję rozszerzenia granic, którą budził Aleksander, szczerze wtedy jeszcze, w szlachetnym porywie, aż go zmroziły metternichowskie tchnienia z zachodu, a ze wschodu opozycya nawet tych, którzy z nim o wolnej Rosyi — ale tylko Rosyi wtedy — marzyli.

Konstytucya nie wskrzeszała majowej ustawy rządowej, zapóźno było przywracać to, co przeszło, gdy inną już poczuła się Polska po szkole rozbiorów, a potem francuskich nauk i praw Księstwa Warszawskiego. Ale dobrą była, przynajmniej zdawała się być dobrą ta konstytucya; nie było oczu dość bystrych, by umiały odkryć, co znaczyły różnice między „zasadami" z 25 maja a konstytucyą, za wpływem „pana senatora" dokonane, jak niejasności przepisów zaciążą w przyszłości. Szczery duch polski po prostu rozumiał konstytucyę: czytał w niej, że polskiem ma być to państwo, w którem urzędnikami Polacy i polską wszelka urzędowa mowa, wierzył, że w pełni będzie się cieszył z wolności osobistej i sumienia, swobody druku, nietykalności osoby i własności. Radował Polaka Sejm, z króla, senatu i izby poselskiej złożony i bardzo hojnie uposażony w prawa ustawodawstwa i kontroli rządu. Nie mogło to razić, że konstytucya mniej była demokratyczna, niż napoleońska Księstwa Warszawskiego, że jeszcze w pewnej mierze — ale tylko w pewnej mierze — szlachtę naprzód wysuwała; myśl polska wówczas przeważnie jeszcze w głowach szlachty żyła, a mieszczaństwo przecież obok szlachty do praw, choć nieco mniejszych było dopuszczone, a włościanom pozostała wolność, po Księstwie spuścizna, i jeśli nie politycznych, to obywatelskich praw równość. Dziesięć wszakże razy szersze w Królestwie było wyborcze prawo do sejmu, niż w postępowej Francyi Burbonów. Francuskie pozostałości: rada stanu, świetny kodeks Napoleona, francuski kodeks handlowy i doskonała, jawna i ustna, francuska procedura cywilna, już zdobyły sobie uznanie polskich umysłów, nikt ich usunięcia nie pragnął i nie żądał. Nowe zaś urzędów ukształtowanie, kollegialnych w miejsce francuskich jednoosobowych z czasów Księstwa, z chęcią widziano jako bardziej swojskie, nawiązujące do tradycyi reform z końca XVIII stulecia: komisyi wielkich obojga narodów czy niższych, cywilno-wojskowych, które taką dobrą o sobie zostawiły pamięć. Nie rozumiano — niestety, trzeba powiedzieć — że konstytucya zapomniała i to najzupełniej, o jednym dziale życia społecznego olbrzymiej doniosłości: o samorządzie, zapomniała mimo to, że choć nikły, był już przecież w jej poprzedniczce, konstytucyi z r. 1807.

Sto lat temu z drżeniem serca, napięciem myśli czytano konstytucyi słowa. I zmarszczki znikały z czoła, rozjaśniały się oblicza. Czy przewidywał kto wtedy, że nim sto lat ubiegnie, ani strzępka z tej konstytucyi nie pozostanie? Że już po latach kilku od wydania konstytucyi iluzoryczne staną się gwarancye wolności osobistej i swobody druku, w dziesięć lat po konstytucyi zamknie król drzwi sejmu dla społeczeństwa, by nie mogło słyszeć przypadkiem jakiejś krytyki rządu, po latach szesnastu i ten sejm zaginie, a potem — potem zburzą następcy „wskrzesiciela Polski" polskie ministerya, usuną polskie urzędy i polskie sądy, wskażą polskiej urzędowej mowy, zakażą tej mowy i w szkole?

Jeśli z poprzedniej konstytucyi Księstwa warszawskiego, została do dziś zasada równości wobec prawa, wolności włościanina, został kodeks Napoleona, z tej z r. 1815 nie zostało — nic.

Nie powtarza się podobno historya. Ale powtarzać się może, iż naród, który raz już targały rozpaczy ból i niepokój nadziei, gdy bez niego o jego bycie radzono, tę mękę po raz drugi przeżyć będzie musiał, że po raz drugi czekać będzie w trwożnej, szarpiącej mózg i serce, niepewności, jaką mu bieg losu da życia przyszłego konstytucyę.

I zdarzyć się to może — w setną rocznicę.

Stanisław Kutrzeba.

Dla Polski.

„Dzień Polski", ogłoszony światu z wyżyn Stolicy Piotrowej w związku z odezwą Episkopatu polskiego do Biskupów całego świata, był obchodzony także w archidyecezyi mohylewskiej. Odbywały się po świątyniach uroczyste modły za Polskę i zbierano składki, poprzedzone odczytaniem listu Pasterskiego X. Administratora archidyecezyi. Najważniejszy ustęp tego orędzia brzmi jak następuje:

W całym świecie katolickim, jak długi i szeroki, we wszystkich krajach i językach z milionów serc popłynęły ku niebu modły za tak strasznie nawiedzony nasz kraj i składana jest jałmużna bratnia na rzecz naszych rodaków. Wielki to zaiste był dzień — dzień jakby powszechnego szturmu serc chrześcijańskich do nieba za nieszczęśliwych braci.

W tej wielkiej manifestacyi uczuć całego świata katolickiego, w tym wielkim akcie — chrześcijańskiej miłości wszystkich społeczeństw i narodów względem naszych braci, nie wolno nam nie wziąć najgorętszego udziału. Jako dzieci jednego Kościoła, nie możemy nie połączyć się ze wszystkimi braćmi i siostrami naszymi w wierze świętej, tem więcej, że związani ścisłymi węzłami z tymi, za których wszyscy się modlą, tem żywiej ich nieszczęście i niedolę odczuwać musimy.

Dlatego, w myśl życzenia Ojca św. i idąc za przykładem moich współbraci w biskupstwie, wzywam Was wszystkich, ukochani dyecezyanie mohylowscy i mińscy, do jakiejkolwiek narodowości się zaliczacie i jakimkolwiek językiem mówicie, do zanoszenia w dalszym ciągu swych modłów. Stańmy wszyscy przed ołtarze Pańskie i gorąco polecamy miłosierdziu Bożemu nieszczęśliwych i cierpiących braci naszych. Módlmy się, aby Wszechmocny zlitował się nad nimi i dał im męstwo do wytrwania i lepszą dolę w przyszłości. Z modlitwą połączmy jałmużnę ochotną i szczodrą. Nie opływamy wprawdzie w dostatki, lecz i tem małem, co posiadamy, chętnie podzielimy się z tymi, co dzisiaj o wiele ubożsi są od nas, a Bóg wejrzy na wdowi nasz grosz i stokrotnie nam pobłogosławi.

Nie wątpię, że wezwanie moje znajdzie gorący oddźwięk w sercach Waszych, najdrożsi moi, i wszyscy jak jeden mąż, jednem ożywieni uczuciem, jednem pałający pragnieniem — pospieszymy z spieszną pomocą duchową i materyalną braciom naszym. Jednocześnie nie zapomnijmy także w swych modlitwach o tym, który pierwszy do wielkiego tego czynu dał hasło, o naszym Ojcu i Pasterzu najwyższym. I niech te modły staną się nowym węzłem, łączącym nas z Opoką Piotrową, w jedności, w której nasza moc, i nasza siła, źródło pociech i błogosławieństw niebieskich. **† Jan**, biskup.

Sprawa pomocy Stanów Zjednoczonych dla Polski była poruszana kilkakrotnie już po zajęciu Warszawy przez armie niemieckie. W ubiegłym miesiącu bawił w Warszawie prof. Vernon L. Kellogg, kierownik amerykańskiego biura pomocy dla Belgii, który konferował z władzami niemieckimi. Jak donosi obecnie „Kuryer warsz." władze zajmują życzliwe stanowisko wobec projektu sprowadzania żywności z Ameryki do Gdańska, z przeznaczeniem dla Królestwa, okupowanego przez Niemcy. Przedstawiciele instytucyj obywatelskich warszawskich zwrócili się do prof. Kellogga z memoryałem, prosząc, aby przedłożył go amerykańskiemu komitetowi dla Belgii. W memoryale tym instytucye nasze proszą komitet, aby przyszedł Królestwu z pomocą i wyjednał u władz niemieckich zezwolenie na dowóz roślin strączkowych, słoniny, tłuszczów, mąki i cukru. Takisam memoryał przesłano do ambasadora Stanów w Berlinie.

P. Kellog poinformował, że w pierwszym rzędzie idzie o to, aby rząd angielski zezwolił na przewiezienie produktów do Gdańska. Za warunek stawia Anglia, aby podział dowiezionej żywności był oddany wyłącznie w ręce okupowanego terytoryum. Wtedy tylko Anglia zwolni statki amerykańskie z żywnością od blokady. W Królestwie musiałaby przeto powstać organizacya obywatelska podobna, jak istnieje już w Belgii. W sprawie tej rozpoczęto rokowania z władzami niemieckimi i jest nadzieja, że doprowadzą do rezultatu.

Rząd angielski, według p. Kellogga, przed wydaniem ostatecznej decyzyi, zwróci się do Rosyi, aby rzecz zaopiniowała. Stanowisko Rosyi będzie miarodajne. „Kuryer warsz." kończy: „W celu zjednania stanowiska przychylnego ze strony czynników miarodajnych w Piotrogrodzie i poparcia tam akcyi zwrócono się za pośrednictwem ambasady amerykańskiej w Berlinie do członka rady państwa Leopolda bar. Kronenberga z prośbą o współdziałanie. Co do finansowej strony projektu, sprowadzenia żywności z Ameryki, to poczynione będą starania w celu wciągnienia do akcyi pomienionych banków warszawskich. Jak się dowiadujemy, inicyatorzy zorganizowania pomocy „Ameryka

Jak nasi zimowali pod Moskwą.

Wojna teraźniejsza odarta została przez szperaczy-filologów z jedynego, zdawało się, oryginalnego rysu, jaki upatrywano powszechnie w wojowaniu w rowach strzeleckich. Rzekoma nowoczesność tego pomysłu, którego pojętna Europa nauczyła się od Japończyków, obróciła się w niwecz wobec faktu, że takie same rowy i w tym samym celu grzebał sobie już Juliusz Cezar, kiedy uzbrojoną pięścią przekonywał Gallów o wyższości rzymskiej kultury. Niespodziewaną tę poprawkę historyczną, która w tak smętny sposób pozbawiła ludzkość XX. wieku jednego z tytułów do chwały, chcemy tu uzupełnić innem jeszcze przypomnieniem, które współczesność naszą zuboży, niestety, o dalszy rys oryginalności, a zaczerpnięte będzie tym razem z dziejów polskiego oręża. Chodzi tu — żeby tak rzec — o umeblowanie owych podziemnych ubikacyj, które ku zawstydzeniu naszemu praktykowały już legiony rzymskiego wodza. Z przytoczonej poniżej notatki okaże się, że starzy Polacy, podobnie jak dzisiejsi wojownicy, umieli spędzać zimę w szczerem polu, że grzebali sobie w tym celu również podziemne mieszkania (co prawda, były to apartamenty ściśle mieszkalne, z których bezpośrednio nie strzelano) i że komnaty owe meblowali sobie niezgorzej, w czem Juliusza Cezara prześcignęli, a nas o lat niemal równo trzysta wyprzedzili. Brakowało w „rowach" polskich jedynie — fortepianów, zarekwirowanych z dworów okolicznych, z czego przodkom naszym niepodobna oczywiście czynić zarzutu już choćby dlatego, że nawet w najmuzykalniejszych domach obywano się naówczas jedynie skromną i prymitywną lutnią.

Działo się to pod Moskwą, w miesiącach zimowych z r. 1608 na 1609.

Już od połowy r. 1608 pod murami Moskwy stał pretendent do zawichrzonego srodze i chwiejącego się wciąż tronu moskiewskiego, Dymitr Samozwaniec drugi, z całą swą zbrojną potęgą, która rozłożyła się obozem w widłach między rzeką Moskwą i rzeką Tuszynką. Stamtąd pożądliwie patrzano na miasto „bardzo wielkie i na pozór piękne, bo w niem siła wierzchów złocistych na cerkwiach", jak zauważył pewien rębacz staroszlachecki z pod Krakowa, czy Gniezna, poszukujący tu przygód i łupów.

Samozwaniec miał armię sporą, na którą składały się różne elementy. Byli tam Kozacy zaporoscy, byli także dońscy, było cokolwiek i Moskwicinów. Trzon armii stanowiło atoli wojsko polskie zaciężne, pozaciągane z różnych prywatnych chorągwi, ze wszystkich stron Rzeczypospolitej. Było tego naszego rycerstwa około 20.000, liczba znaczna na owe czasy. Przewodził mu, jako hetman z wyboru, słynny starosta uświatski, Jan Piotr Sapieha, synowiec wielkiego kanclerza, a jedna z najburzliwszych postaci tego wieku, jedno z tych paniąt kresowych, co w nadmiernem poczuciu siły, nieujętej w żadne karby, gotowe były mięszać się choćby w sprawy postronnych potęg i opróżniać lub obsadzać obce trony. Nieokiełznana i wichrowata dusza, starosta uświatski, który miał wyprawę tę nałożyć własną głową, wiódł drugiego Samozwańca na koronę moskiewską, może w ambitnej rachubie, aby tym sposobem pochwycić w swe dłonie ster gosudarstwa. Rycerstwo szło zgoła bez myśli politycznej: po „krwawe zasługi", jak się wtedy mówiło. Dymitr cenił sobie wysoce ten współudział Polaków, którym zawdzięczał bez mała cały splendor swego pochodu po „tron ojcowski". Mówił: „Chciałbym, posadzi-li mnie Bóg na stolicy, abym zawsze Polaki miał przy sobie, ażeby jeden zamek Polak, a drugi Moskwicin trzymał; a jeśliby nie mogło być inaczej, żeby wam odejść przyszło, tedy mię tak nie zostawiajcie, ażbym inszych ludzi na miejsce wasze z Polski zaciągnął". Tak tedy w pstrym składzie obozu Dymitrowego Polacy dominowali i można powiedzieć, że wyprawa ta, równoczesna ze wspaniałym pochodem Żółkiewskiego, była też polską wyprawą na Moskwę. Był zatem u bram Moskwy, pośród 20-tysięcznego rycerstwa polskiego, Jan Piotr Sapieha, był przy nim kniaź Roman Rożyński i Aleksander Zborowski, był jegomość pan wojewoda sandomierski Mniszech, ojciec Maryny, i była sama carowa Maryna, która zdążyła już przyznać się do drugiego Dymitra, gdyż — mówiła — „będąc panią narodów, carową moskiewską, wracać się do stanu szlachcianki polskiej i znowu poddaną być nie mogę". Od lipca do listopada 1608 r. ucierały się wojska Dymitrowe pod murami Moskwy z wojskami cara Wasila Szujskiego. Aż ścisnęły i piewsze mrozy, te same, co w dwieście lat później miały złamać potęgę Napoleona.

Cóż tedy w obliczu srogiej zimy moskiewskiej poczęli nasi?

Opowiada nam o tem uczestnik owej wyprawy, Imć pan Mikołaj Ścibor z Marchocic Marchocki, który w kilkanaście lat później, syt chwały i łupów, zamieniwszy oręż na pióro, spisał swe przygody w pamiętniku p. t. „Historya wojny moskiewskiej". Imć pan Marchocki przechował nam właśnie wiadomość o tem, jak to ojcowie nasi w r. 1608 tuż pod murami Moskwy zimując, niegorzej od dzisiejszych wojowników umieli urządzać się w szczerem polu i zmyślnie czynili sobie czasowe apartamenty — pod ziemią.

„Wtem też zima nadchodziła — opowiada Mikołaj z Marchocic — i prawie już nas był śnieg w namiotach przyprószał, kiedyśmy radzić zaczęli, jakoby i gdzie tę zimę przebyć. Zdało się niektórym, żebyśmy byli wojsko na kilkoro rozdzielili, stanęli gdzie opodal od stolicy we włościach moskiewskich (bo się też nam było niemało i za stolicą zamków poddało i włości wielkich). Ganili insi tę radę, że niebezpieczeństwo w ziemi nieprzyjacielskiej rwać się na siła części. Stanęło na tem, żeśmy się ryzykowali na temże miejscu zimować. A naprzód poczęliśmy się w ziemi grześć i gmachy w ziemi sobie czynić z piecami, także w ziemi wygrzebionymi. Stajnie dla koni pobudowaliśmy także z chrustów i słomą ociszyli". Tym trybem rycerstwo nasze jęło zimować pod Moskwą. Jak widzimy, działo się to modą wcale podobną do dzisiejszej, a możemy śmiało uzupełnić relacyę Imć Marchockiego domysłem, że szlachta musiała się niezgorzej urządzić „pod ziemią" i że izby podziemne musiały być przestronne, skoro pomyślano tam i o piecach. Niestety, te piece właśnie stały się ciemnym punktem w całej sprawie. Dym rozchodził się po komnatach i dusił. Toteż — powiada Marchocki — „takowe mieszkania nie wszystkim plagowały, zagorywali w nich". Trzeba było radzić sobie inaczej. Mówiąc poprostu, trzeba było wyłazić zwolna na powierzchnię, co też i czyniono.

Harcując przez zimę, wojska Dymitrowe już były tymczasem zhołdowały swemu panu i bliższe obszary pod Moskwą, co bardzo dobroczynnie wpłynęło na zaopatrzenie rycerstwa naszego we wszelaki prowiant. „Z onych włości — opowiada pamiętnikarz — wieźli nam prawie, czego jeno dusza chciała i mieliśmy się bardzo dobrze". Podwody z żywnością przychodziły tak gęsto, że na jedną rotę przypadała nieprawdopodobna liczba „po tysiącu wozów". Błogosławiony ten kontakt z okolicą nasunął rycerstwu, wykurzanemu z pod ziemi przez kiepskie piece, nową ideę — pobudowania się na wierzchu. I tu znowu przedziwne zachodzi podobieństwo między sposobem urządzania się w polu dziś, a wtedy, między armią XX-go stulecia, a owemi zbrojnemi kupami z przed lat trzystu. Rozbierało się poprostu chałupy wiejskie i do obozu przenosiło już nietylko poszczególne sprzęty wewnętrznego urządzenia, ale wręcz drzwi, okna, a nawet — dachy. Tak właśnie poczynali sobie bez wszelkiego skrupułu wojownicy Dymitrowi. „Zaczem — czytamy dalej we wspomnieniach p. Marchockiego — mając tak wielu poddanych, jęliśmy budować się na ostrzejszą zimę: brali z bliskich wsiów domy, a w obozie stawiali. Miał drugi (to znaczy ten i ów) i dwie i trzy izby, a one ziemne na piwniceśmy obrócili". „Zbudowali wśród obozu i carowi (Dymitrowi) z carową (Maryną) i z wojewodą (Mniszchem) mieszkania dosyć". „Owo on nasz obóz stał się miastem budowanem". Miasto to nazwano Tuszyn od przepływającej tamtędy rzeczki Tuszynki, jakby w zuchwałem wyzwaniu do rywalizacyi sąsiedniej Moskwy, położonej nad rzeką Moskwą. Tak urządziwszy się na zimę u bram białokamiennej stolicy carów,

dla Polski" otrzymali już od prof. Kellogga z Brukseli pomyślne wiadomości. Mianowicie prof. Kellogg sprawę pomienioną przedstawił prezesowi „Commission for Relief in Belgium" p. Hoverowi, który akcyą rozszerzenia działalności komitetu na Królestwo zajął się gorliwie".

Na gruzach kościołów.

Wychodzący w Poznaniu organ związku Kapłanów „Unitas" zainicyował pomoc duchowieństwa wielkopolskiego dla kapłanów, dotkniętych wojną w Królestwie. Obecnie zamieszcza to pismo szereg listów od księży z Królestwa, opisujących stan kościołów i stosunki w zniszczonych parafiach. Warto przytoczyć niektóre, dla uzupełnienia obrazu, jaki przedstawia Polska wojenna.

Do X. prałata Laubitza, proboszcza w Inowrocławiu, pisze jeden z kapłanów:

„Zostałem mianowany proboszczem na dwóch parafiach. Po wielu uprzykrzeniach i trudnościach jadę z dziekanem, aby objąć probostwo. Przyjeżdżamy na miejsce, gdzie gruzy i popioły: to był kościół mój. Zwołano parafian, przyjęli mnie chlebem i solą, łkaniem i szlochaniem, słowa nie mogli ani oni, ani ja wypowiedzieć. Plebania zniszczona do fundamentów. Nazajutrz w chałupie wiejskiej — w sionce — odprawiłem Mszę św. Ornat miałem niby biały, ale że leżał w okopach, więc przegnił do cna. Stuła fioletowa, manipularz czarny, welon na kielich czerwony. Za korporał służyła chusteczka, alba podarta w strzępy, humerału brak było... Gdym zaintonował w Boże Ciało „Święty Boże", lud nie śpiewał wcale, bo wszyscy płakali. Ludzie na wpół nadzy, obdarci, mieszkający w norach i jamach, żyjący kartoflami tylko — o ile są — i wodą: modlić się już nie umieją i nie mogą"...

Inny kapłan pisze:

„Sześć kościołów w moim dekanacie mocno ucierpiało, gdzie w czterech nawet nabożeństwo się nie odprawia. Ornatów i bielizny kościelnej wielki brak. Światło zabrano w 18-tu kościołach, wino mszalne wszędzie na wyczerpaniu. Wszyscy księża proboszczowie stracili dwie trzecie swego dobytku wskutek rekwizycyj wojennych. Jeden kościół nowiutenki w gruzach, drugi strasznie podziurawiony, księża wszystko mienie utracili. W mojej parafii ludność, robotnicy fabryczni, uboga, a 10 tysięcy głodnych, można mieć pojęcie, jaki my tu taki żywot prowadzimy. Wspierać trzeba, a znikąd pomocy. Ofiary mszalne, jedyny nasz obecnie dochód, ustały prawie zupełnie. Każdy z kapłanów, by wśród ludności utrzymać wpływ, pozyskać obałamuconych, nie odpychać bez grosza obdartych i wynędzniałych powinien mieć przynajmniej po tysiącu rubli, by na przyszłość wspomagać. Już dzisiaj zmuszeni jesteśmy zamykać się — ludność niejednokrotnie łzy i anonimami prześladuje. Rozpacz ogarnia co dalej będzie. Za nami jeszcze gorzej: na miejscu miasteczek i wiosek tylko zgliszcza. Czcigodni bracia z „Unitas", wielkich sum nie posiadacie, zebranie rozdzielcie, co nam się dostało, za to zapłać Panie Boże".

Opisy powyższe odnoszą się do lewego brzegu Wisły. Na prawym sytuacya jest jeszcze okropniejszą. Oto co pisze X. Biskup płocki, Nowowiejski:

„Na 270 kościołów, jakie posiada dyecezya płocka, 25 zostało zrujnowanych doszczętnie, albo prawie doszczętnie, a mianowicie: w Janowie, Chorzelach, Pawłowie, Czernicach, Przasnyszu (2 kościoły), Węgrach, Jednorożcu, Wyszynach, Umierzyu, Niedzborzu, Łysakowie, Grudusku, Glinojecku, Krasnem, Gralewie, Smardzewie, Sarbiewie, Rogotworsku, Starożrebach, Zatorach, Pniewie, Obrytem, Różanie i Myszeńcu. W tych miejscowościach, a może i w innych, z których jeszcze nie dostałem wiadomości, nabożeństwo odprawia się w chatach, domach prywatnych, jeżeli nie zostały spalone i t. p. Obok kościołów tych zniszczonych zupełnie, inne poniosły mniejsze lub większe straty w ścianach, dachach, sprzętach, naczyniach i szatach liturgicznych. Nadto wielka ilość plebanii i zabudowań gospodarskich została spalona lub rozwalona. Dobytek księży w wielu miejscach zniszczony. Wielu kapłanów musiało uciekać w jednej tylko sutannie i przez czas jakiś tułać się po okolicach, dopóki po bitwie nie znaleźli możności powrotu do swoich siedzib, gdzie zgliszcza znaleźli. Seminaryum nasze w Płocku, pozbawione pomocy rządowej, nie mając nadziei, aby kwesta doroczna od wiernych mogła się udać dobrze, w trudnem jest położeniu. Dlatego taka szczodra z serca Waszego ofiara przyjęta będzie wdzięcznem sercem. Nie umiem wyrazić tej wdzięczności, jaką odczuwam wobec ofiary kapłanów, którzy z serdecznej miłości dla swych braci dzielą się swym groszem w tak ciężkich dla nas czasach. Bóg zapłać!"

Niemniej serdecznie dziękuje za pomoc udzieloną Najprzew. X. Biskup Zdzitowiecki z Włocławka:

„Ofiarą Waszą tak jestem rozrzewniony i poruszony, że wprost słów nie znajduję na wyrażenie należnej wdzięczności. To tylko niech będzie jej stwierdzeniem, że wszyscy kapłani w katedrze jednę Mszę św. ofiarują specyalnie na intencyę szlachetnych ofiarodawców, wszyscy też z mną i prześwietną kapitułą moją na czele, z głębi duszy stokrotne „Bóg zapłać" ślemy, a pamięć o Waszych ku nam uczuciach na zawsze we wdzięcznych sercach zachowamy".

Memoryał Tow. rolniczych Królestwa Polskiego.

Królestwo Polskie, na którego obszarze toczyła się obecna wojna już od sierpnia z. r., uległo wielkiemu spustoszeniu. Spalone miasteczka, wsie i dwory, brak inwentarza, dziesiątki tysięcy nieobsianych morgów, zdewastowane lasy, przemysł i handel zniszczony — wszystko to przedstawia straszliwy obraz kraju, nad którym zawisła groza ruiny ekonomicznej, tak pod względem rolniczym, jak handlowym i przemysłowym.

Mimo wielkich centrów fabrycznych w Królestwie, których życie obecnie również zamarło, podstawą ekonomiczną i najważniejszą gałęzią gospodarstwa krajowego jest rolnictwo. W ciągu długich miesięcy wojny, kwitnące w czasach normalnych rolnictwo Królestwa znalazło się nad brzegiem przepaści. Rychły dlań ratunek jest koniecznym, jeśli ta wielka arterya życia gospodarczego ma nadal spełniać swe zadanie, dając chleb milionom mieszkańców Królestwa. Wobec grożącej rolnictwu ruiny tamtejsze Towarzystwa rolnicze wygotowały dla cesarsko niemiec. Zarządu cywilnego w Warszawie następujący memoryał:

„Wobec nadchodzącej pory robót wiosennych, wymagających nadzwyczajnych zarządzeń, na te uwzględnienia, mamy zaszczyt przedstawić Ekscelencyi stan gospodarstwa rolnego w Polsce i wskazać najpilniejsze potrzeby, które wynikły wskutek szkód wojennych. O zupełnem uruchomieniu gospodarstw rolnych w Polsce nie może być w obecnej chwili właściwie mowy, a chodzi tylko o utrzymanie ich minimalnej zdolności wytwórczej, do czego nieodzowną jest: 1) minimalna ilość zwierząt pociągowych, 2) odpowiednia ilość ziarna na zasiew, 3) niezbędna ilość nawozów sztucznych i 4) potrzebny kapitał obrotowy. Szkody w inwentarzu żywym w zachodniej części Polski, t. j. na obszarach, które zajęte zostały przez wojska niemieckie i austro-węgierskie przed 1. czerwca 1915 r. są mniejsze, niż w części wschodniej, która od czerwca do września 1915 r. była widownią odwrotu niszczycielskich wojsk rosyjskich. A jakkolwiek wiele tysięcy gospodarstw małorolnych jest zupełnie zniszczonych, to jednak wyjątkowo wielkie szkody poniosła wielka własność rolna, gdyż jej inwentarz żywy przedstawiał zarówno wyższą wartość, jak niemniej dla rekwizycyi był dogodniejszy.

Nie posiadamy dokładnych dat wskutek trudności komunikacyjnych i musimy się ograniczyć do wniosków, opartych na zgoła niezawodnych sprawozdaniach. Nasze oszacowanie szkód zatem tylko w przybliżeniu odpowiada stanowi faktycznemu, przyczem zauważamy, że szkody rzeczywiste są znacznie wyższe. Przyjmujemy, że w pierwszym obszarze zajętym (przed czerwcem) liczba zwierząt pociągowych spadła u wielkiej własności o 15 procent, u małej o 10 proc., natomiast zaś w nowym obszarze (wschodnim) u wielkiej własności o 50 proc., u małej o 30—40 proc. Cały obszar pierwszej i drugiej okupacyi roli uprawnej i stan bydła w naszym kraju wedle wykazu za rok 1911 przedstawia załączone zestawienie cyfrowe. (Ogólny obszar 5,230.300 hekt. rola uprawna 2,972.000 hekt., koni 558 tysięcy sztuk, bydła 1.005 tysięcy sztuk, świń 305 tysięcy sztuk). Z zestawienia tego wynika, że w pierwszym niemieckim obszarze zajętym liczba koni zmalała o 33 tysiące sztuk, a w drugim o 171 tysięcy sztuk. Na całym zaś obszarze okupacyi liczba koni zmniejszyła się o 395 tysięcy sztuk. Aby choć jako tako uruchomić gospodarstwo rolne, musi być przynajmniej częściowo pokryty brak koni i bydła; część pracy możnaby wykonać przy użyciu wołów i krów. Bardzo pożądanem jest przeto, aby Cesarsko Niemiecki Zarząd cywilny odstąpił tutejszym gospodarzom w miesiącu lutym przyszłego roku pewną ilość wołów, które następnie po ukończeniu robót w czerwcu i lipcu temuż Cesarsko Niemieckiemu Zarządowi wedle wagi zostaną zwrócone tak, aby mogły być w danym razie użyte dla celów aprowizacyjnych.

Siłę pociągową koni możnaby także po części zastąpić przy użyciu motorów; zwraca się jednak uwagę, że pługi parowe i motorowe tylko tam mogą być użyte, gdzie istnieją warunki po temu, przyczem zły stan dróg będzie poważną przeszkodą. Do pokrycia pierwszego zapotrzebowania potrzeba około 68 tysięcy sztuk koni. Przyjmując zaś jako cenę kupna 200 rubli (500 marek) za konia, potrzebną byłaby na niemiecki obszar okupacyjny kwota 34 milionów marek.

W 1911 r. liczono w ogólności w Królestwie Polskiem 2,327.000 sztuk bydła, a na terenie obecnie zajętym przez Niemcy 1,322.000 sztuk. Przyjmując, że stan bydła zmniejszył się w pierwszym okresie okupacyi o 15—20 proc., a w drugim o 40—50 proc. stanu pierwotnego, ubyło tutaj 490.000 sztuk bydła. Nie jest rzeczą potrzebną wchodzić w szczegóły, jak wielką szkodę oznacza to dla produkcyi mleka, mięsa i tłuszczu. Dla częściowego choćby usunięcia braku potrzeba wyrównania przynajmniej jednej trzeciej części ubytku, a więc 163.000 sztuk bydła, co przedstawia kwotę 37,000.000 marek, licząc jednę sztukę po 225 marek (150 rubli). Szczególnie dotkliwe były rekwizycye świń i owiec, przyczem zauważa się, że gospodarze usiłowali w danym razie przedewszystkiem ratować bydło i konie, a wyzbywali się owiec i świń za byle jaką cenę. Ten nadzwyczajny ubytek w stanie bydła stał się przyczyną ubytku naturalnego nawozu, co jest tem dotkliwszem, że w ciągu dwu lat po sobie brakowało również nawozu sztucznego. Na rok 1913/14 przyjąć można ilość zapotrzebowania w sumie 2,500.000 cetnarów metrycznych.

Bardzo ważną sprawą jest również uzyskanie ziarna na zasiew. Tylko na jednę trzecią obszaru Królestwa Polskiego można uważać istniejący zapas za wystarczający, natomiast znaczna część gospodarzy po lewym brzegu Wisły, a większość gospodarzy po prawym brzegu została przez wojsko rosyjskie w zupełności pozbawiona zboża na zasiew. Pochodzącemu stąd brakowi nie zdoła zaradzić zapobiegliwość prywatna związków gospodarczych, lecz nieodzowną będzie na większą skalę podjęta akcya kredytowa. Kwota potrzebnego kredytu wynosi w przybliżeniu 88 milionów marek.

Szkody poniesione przez rolników w Królestwie Polskiem nie znalazły dotąd, z wyjątkiem całkiem nieznacznych wypadków, żadnego pokrycia, a kwitów rekwizycyjnych, będących w posiadaniu rolników w nader wielkiej ilości, również nie można dotąd nigdzie zrealizować. To położenie finansowe uległo zaś dalszemu niesłychanemu pogorszeniu przez zniesienie moratoryum, obowiązującego tutaj od 8. sierpnia 1914 r. tak, że większość rolników Królestwa Polskiego stanowczo nie jest w możności zadosyćuczynić przypadającym płatnościom, a bez udzielenia im nadzwyczajnego kredytu, z braku środków finansowych większość gospodarstw zmuszoną będzie w najbliższym roku gospodarczym w ogólności zaprzestać pracy.

Z Polonii amerykańskiej.

Stosunki między emigracyą polską w Ameryce przedstawiały dla Polaków w ojczyźnie ostatniemi czasy obraz dość niejasny. Wiadomo było, że odbywa się nowe ugrupowanie organizacyj, lecz linia ogólna gubiła się w szczegółach informacyjnych. Obecnie znajdujemy w „Kalendarzu św. Michała" na rok 1916 przedstawienie tych zmian, wraz z dokładnem omówieniem roli Polskiej Rady Narodowej, dzisiaj głównej i naczelnej organizacyi polskiej w Stanach Zjednoczonych.

Informacye te brzmią jak następuje:

Wszystkie poruszenia Polonii amerykańskiej ku Ojczyźnie, cały nasz dotychczasowy stosunek do Starego Kraju miewał charakter dorywczy: chwilą zbudzone poruszenia po chwili przemijały, trwałych skutków, ni wrażenia trwalszego nie pozostawiały po sobie, a to ni z tej ni z tamtej strony Oceanu. Próby wytworzenia na wychodźtwie tutejszem stałej reprezentacyi narodowej, celem utrzymywania nieprzerwanej z Ojczyzną łączności, sporadyczne były i krótkotrwałe; aż dopiero w ostatnich czasach znaczy się nam w tej mierze zmiana na lepsze: dawno żywione pragnienia, stwierdzające niezaprzeczenie, że bądź co bądź istnieje w środowisku tutejszem poczucie i uświadomienie żywe potrzeby jakiejś pewnej ostoi dla łączności z Ojczyzną, nareszcie zdają się realizować i konkretne przybierają formy.

Datuje się to mniej więcej od schyłku 1912 r.; d. 16. grudnia odbył się wtedy pamiętny w Polonii amerykańskiej Wiec Narodowy w Pittsburghu, na który przybyli liczni przedstawiciele organizacyi i prasy naszej. Na skutek poleceń Wiecu tego, a pod wpływem wieści alarmujących z Europy, głoszących możliwość, bliską wówczas, wojny europejskiej — zorganizował się w Chicago Komitet Tymczasowy Obrony Narodowej, w którym reprezentowane były wszystkie organizacye ważniejsze Polonii. Komitet ten postanowił działać w celu zbierania funduszów na ewentualną wojnę w Polsce, w której Polacy udział wziąćby mieli: po osadach i koloniach polskich odbywały się wiece i zebrania, organizowano komitety lokalne, oraz zbierano fundusze, które komitet chicagowski posyłał do kraju na ręce tamtejszej Komisyi Tymczasowej Stronnictw Niepodległościowych, stojących — jak się później dowiedziano — pod wpływem organizacyj socyalistycznych.

Temu posyłaniu pieniędzy na ręce socyalistów, oraz zaciąganiu się bez zastrzeżeń, na ślepo pod hasło i znaki socyalistyczne — sprzeciwiała się od początku część Komitetu, mniejsza liczbowo, ale reprezentująca stanowczą większość ogółu polskiego w Ameryce, a mianowicie przedstawiciele organizacyi i prasy narodowo-religijnej; różnice stąd powstałe, pogłębiano uprzedzeniami i niechęciami wzajemnemi, oraz niesprawiedliwem traktowaniem mniejszości owej w Komitecie przez zwolenników Komisyi Tymczasowej, co doprowadziło w końcu do rozłamu. Przedstawiciele sposobu myślenia narodowo-religijnego wystąpili w dniu 8 czerwca z K. O. N. i założyli nową organizacyę reprezentacyi polskiej w Ameryce, a mianowicie Polską Radę Narodową, z którą szybko zaczęły się łączyć wszystkie ważniejsze pisma i organizacye religijno-patryotyczne, oraz mnogie komitety lokalne, dawniej należące do K. O. N.

Na czele Polskiej Rady Narodowej stanęli J. E. ks. Biskup Paweł Rhode i śp. ks. Biskup Edward Kozłowski. Instytucya nowa rozszerzyła wnet energiczną działalność w kierunku uświadamiania patryotycznego i zbierania funduszów, a ku celom tym posiada specyalne wydziały, złożone z członków swego Komitetu Wykonawczego; ważniejsze z wydziałów tych są następujące: Wydział Prasy i Biuro Prasowe, Wydział Finansów, Wydział Organizacyjny i Wydział Skautów. Polska Rada Narodowa żywą prowadzi akcyę na wszystkich polach ideowych spraw naszych; więc przedewszystkiem gromadzi fundusz na wsparcie ofiar wojny obecnej w Ojczyźnie, jednocześnie zaś dąży do narodowego uświadomienia ludu naszego, by go módz w razie potrzeby poruszyć i użyć; budzi dalej patryotyzm wśród młodzieży polsko-amerykańskiej, przeciwdziałając tak zgubnie szerzącemu się wynarodowieniu, a w tem wszystkiem, w całej tej robocie — pozostaje w nieustannym kontakcie z Ojczyzną i równorzędnemi jej instytucyami, ku czemu służy znakomicie specyalnie zorganizowane Polskie Biuro Prasowe w Chicago, porozumiewające się z takiemiż biurami prasowemi w Starym Kraju i poza jego granicami: Paryżu, Londynie i Rzymie; chicagowskie biuro działa nietylko dla prasy polskiej, lecz i dla prasy angielskiej — udzielając jej żywotnych a źródłowych informacyi o wszelkich sprawach polskich — czego dotychczas brakowało nam dotkliwie; wreszcie biuro prasowe P. R. N. wydaje po angielsku dwutygodnik „Free Polend" przeznaczony dla celów informowania o Polsce — Amerykanów.

Tak zorganizowana i systematycznie prowadzona Polska Rada Narodowa ma wszystkie dane powodzenia. Stanowczo ona — a nie żadna inna instytucya reprezentuje ogromną większość ośmiu dziesiątych polsko-amerykańskiego zespołu; szerszem o wiele, niż to było gdzieindziej dotychczas, objęciem różnorodnych spraw polskich, rozmiarami wpływów i doskonałem roboty rozplanowaniem, zapowiada instytucya ta istotne pożytki, a oparcie o parafie, organizacyę i prasę religijno-patryotyczną, zapewnia jej trwałość.

Czwartemu Pułkowi Legionów

Kolenda Czwartaków.

(Na nutę: „Mesyasz przyszedł na świat prawdziwy")

Zbawiciel przyszedł dzisiaj w okopy,
więc Go zaprośmy na nasze snopy —
niech z Nim po krwawej pracy
kolendują wojacy,
tu w polu — Czwartacy...

Drży On tu z zimna — nie ma koszuli —
niechaj Go Czwartak płaszczem otuli...
A Pan zaś prawem starem
nie wzgardzi naszym darem,
dzieląc się — sucharem...

W głowach tornister nie bardzo gniecie —
pieluszki suszmy Mu na bagnecie —
zapalmy ogień w rowie
i siądźmy kompanowie,
słuchajmy — co powie...

Powiedz nam Jezu przy tej kolendzie
co też to z biedną Twą Polską będzie?...
w polach wszystko marnieje —
w sercach gasną nadzieje —
a krew się — wciąż leje...

Powiedz nam Jezu, co też tam w domu?...
Zapewne płaczą dziś pokryjomu...
Pociesz ich Jezu Panie
Okaż swe zlitowanie —
bo nam sił nie stanie!...

My Ci w ofierze niesiem swe rany —
przyjm Ty te skarby Jezu kochany!
nad nami wznieś Swe dłonie,
błogosław nasze bronie
Ojczyźnie — w obronie...

Niech się Twa dobra okaże Wola,
błogosławiąca te krwawe pola,
Wolności otwórz bramy!
niech Polskę odzyskamy —
Czwartacy — błagamy!...

Józef Andrzej Teslar
legionista.

20 grudnia 1915 roku.

Ze złotej księgi Legionów.

W polu, 3 grudnia.

Od sierpnia po sierpień, rok cały, i dalej jeszcze po grudzień, miesięcy okrągło szesnaście bije się w słońca skwarze i po mrozach, dziesiątkami kilometrów chadza żołnierz polski... Grzęźnie w błotach nad Nidą i Strypą, bessarabskie gliny ryje a z trudu jego mogiły rosną jeno zapomniane... Rosną od Węgier po Bukowinę, od Kielc przez Lublin mogiłki i krzyże, a medali srebro raz wraz rozjaśnia pierś żołnierską, porówni kaszlem szarpaną, jak tęsknicą do jutra jasnego...

Jedni tylko bez odznaczeń byli — oficerowie Legionu, a nad grobami ich krzyży i po pięć wyrastało naraz, jak w W. na onym u stóp sośnin cmentarzu...

Bo nie dla krzyżów, nie dla odznaczeń i nie dla chluby swojej bije się oficer polski — ale dlatego, bo taki jest nakaz honoru! Bije się — i z szablą w dłoni, jak ś. p. Lejczak, w grób się kładzie, w wizyę wpatrzony cudną i z nią w przyszłość idący, aż na ostatnie z koców żołnierskich żałobne posłanie.

Aż oto i na piersi jego order, oficerski krzyż zabłysnął... krzyż, który jest dowodem miesięcy boju, ognia, trudu... krzyż, na który metal złocisty kował się w zgiełku bitewnym.

Wczoraj dopiero, dnia 2. grudnia, rozkaz był, rozkaz mówiący, że dekorowani zostali za waleczność... Powie wam wykaż oficyalny nazwisk kilkanaście. I nic więcej. Nazwisk, które przerzucicie okiem obojętnie i odejdziecie do zajęć swoich, bo wam one nie powiedzą wiele. Nazwisk jednak, co się krwią własną zapisały...

Kto z Was wie dziś, co zacz są ci odznaczeni wojskowym krzyżem zasługi III. klasy? Kto wie dziś — w kraju, za frontem — kto to jest kapitan Dziekanowski Karol, komendant batalionu w pułku drugim, wiodący kompanie swoje w bój, z taką szaloną jakąś pogardą śmierci? Kto dziś wie i kto pamięta, że ten żołnierz, że ten oficer polski w bojach nowoczesnych średniowieczny jakiś pojedynek stoczył na froncie z rosyjskim podpułkownikiem Iwanem Rarikowem, ranił go, ubezwładnił i w niewolę wziął, nie bacząc, że w tymsamym czasie najgłupszy sołdat z karabinu mierząc, podszedłszy o kroków parę, mógł go trupem położyć?...

A kto słyszał o poruczniku Gniadym Władysławie, skromnym, cichym techniku lwowskim, o adjutancie pułkownika Januszajtisa?... To drugie nazwisko już coś mówi... Ale i Gniady, adjutant jego, toć to też żołnierz bez skazy... Adjutant — i dwa razy ranny.

A Siczka Stanisława czy znacie? Czy wiecie, że w Legionach porucznikiem („oberleutnantem") jest człowiek nie z „towarzystwa", rzemieślnik, ślusarz z zawodu...? I czy wiecie że kłoni się przed nim każda dostojność oficerska? Że on taki, jak Kiliński, z trudu wyrósł swojego i ze znoju i z życia nieszczędzonego nigdy... Że to on dał nam, w Karpatach jeszcze, pierwszy karabin maszynowy — i brawurę swoją w bój idącego rzemieślnika-Polaka.

A poruczników Czaplińskiego Władysława i Mozdyniewicza Mieczysława, akademików, na wojnie na komendantów kompanii wyrosłych, po zwyż setce ludzi na bój prowadzących — czy znacie?

Ale oto tuż po nich — w wykazie, a nie w chwale, bo w tej wśród najpierwszych stanęli — idą znajomi wasi; idą ci, których imię, choć po śmierci już, to nie kirem żałoby, a purpurą chwały się mieni... Idą razem, jak razem w życiu byli i w zgonie, ułańscy porucznicy: Jerzy Topór i Roman Włodek... Podporucznikami w szarży rokitniańskiej zginęli, choć już porucznikami byli. Tylko awans za późno przyszedł... Tak bywa. A dziś, po miesiącach pięciu, krzyże swe dostali, krzyże drugie, bo pierwsze na cmentarzu w Rarańczy już zczernieć zdołały...

A oprócz krzyżów przyszły i „znaki chwały" — signum laudis — dekoracyi chwalebnych dziesiątek dobry, a wzięli je tacy, których nazwiska także... zapamiętać warto. A więc: szwadronu komendant, porucznik Kordecki Wojciech i Jaster Stanisław, porucznik, kompanii komendant, pod Rokitną ranny i Mężyński Włodzimierz, kapitan, przez bitewny znój idący z stopnia na stopień, patrolowiec, zagończyk. I innych wielu:

Szyndler Czesław, porucznik, pod Rokitną ranny; Liszka-Lawicz Wilhelm, podporucznik, pod Rokitną ranny; podporucznik Biegański Stanisław, który po szesnastu miesiącach boju pod B. zaginął i nie wiadomo czy żyw, czy zdrowy dostał się w ręce wroga; podporucznicy Chełmicki Henryk i Godziejewski Eugeniusz z pułku trzeciego, których cześć otoczyła żołnierska i zwyż setki bitew przebytych urok niewygasły.

Albo taki Fąfara Maryan, podporucznik w ułańskim szwadronie drugim... rachunkowy, który dnia szarży rokitniańskiej o całej kancelaryi zapomniał, a z szwadronem, a z rotmistrzem ukochanym na szarżę poszedł: powrócił żyw, ale ranny...

To ci, którzy w boju, w krwi własnej, w trudzie i w bytowaniu okopów nieraz przykrem, od Węgier przez Galicyę Bukowinę, Bessarabię, zdobyli sobie ten znak chwały złocisty. A przy nich ci, którzy nerwami, organizmem odżywczym byli, którzy codzienną pracą szarą ułatwiali Legionowi drogi jego: tu z lekarzy naszych Dr Majewski Tadeusz, przez ręce którego tysiące rannych przechodziło i chorych...

Oto dwudziestu trzech oficerów brygady drugiej, pułków drugiego i trzeciego, po roku z górą walk odznaczonych chwalebnie...

W. Mondalski.

Nad kanałem Suezkim.

„Kölnische Volkszeitung" otrzymuje z Kairo obszerne sprawozdanie, które charakteryzuje stosunki w Egipcie i sytuacyę wojskową.

Kairo, 22. listopada 1915.

Powoli, ale bez przerwy zgromadzają się ciemne chmury nad pięknemi posiadłościami angielskiemi w uroczym kraju nad Nilem. Nadchodzą chmury z trzech stron równocześnie: na wschodzie Turcy, na południu i zachodzie różnorodne plemiona tubylcze, szczególnie zaś niespokojni i ziejący żądzą wojny Senussi, oczekują z niecierpliwością dnia, w którym ponad kanałem Suezkim pękną pierwsze granaty.

— Będziemy świadkami strasznej burzy — szepcą sobie zatrwożeni i zaniepokojeni Anglicy.

— Dnie nasze w kraju Faraonów są już policzone — zwykli mawiać pesymiści.

A optymiści pocieszają się, mówiąc:

— My wszystko, nawet największą burzę przetrwamy! Polityka i genialność umysłu Kitchenera wyratuje nas z każdej opresyi.

I łudzą się tem, jakby Kitchener był naprawdę cudotwórcą. A jednak ten sam lord Kitchener widocznie nie jest zbyt pewnym położenia: inaczej bowiem nie przeprowadzałby tak daleko idących zarządzeń obronnych w „swoim" Egipcie. Te zarządzenia dopiero mają rzekomo utrzymać porządek w kraju.

W pierwszej chwili dotyczą one „neutralnej" drogi do Indyi — kanału Suezkiego. Dzięki uprzejmości pewnego angielskiego oficera udało mi się nie tak dawno na pokładzie angielsko-egipskiego parowca „Aleksandria" przejechać kanał Suezki. Przy tej sposobności mogłem naocznie przyjrzeć się wszystkim poczynionym tam zarządzeniom.

Po obu brzegach na 160 km. długiego kanału pracuje niezliczona ilość tubylczych i angielskich żołnierzy, dzień i noc, z łopatami i kilofami w ręku. Z niezwykłą szybkością kopią w piasku, rowy strzeleckie, zakładają kolczaste druty, przygotowują „wilcze doły". Szczególną uwagę zwracają na zachodnią stronę kanału, którą też najsilniej umocnili i ciągle jeszcze w tej części poprawki przeprowadzają. Port Said, El Kantara, Ismailia, Serapeum, Szaluf, Agroud i Suez przetworzono na silne twierdze. Między niemi zaś powstał cały szereg mniejszych i większych obwarowań, połączonych między sobą niezliczonymi rowami i polnemi kolejkami. Stąd biegnie silnie na wewnątrz wzmocniona

wojowało rycerstwo polskie pod kniaziem Rożyńskim (gdy pan Sapieha poszedł tymczasem dobywać obronnego monasteru w Siergiejewie), aż po pamiętnej bitwie kłuszyńskiej pociągnął w te strony hetman polny koronny Żółkiewski, aby w imieniu polskiego junactwa wnieść polską myśl państwową i opróżnić tron carów dla królewicza Władysława.

Obóz tuszyński pod Moskwą, zawdzięczający swe „pobudowanie" znikomej okoliczności, iż zachciało się „zagorywała" w podziemnych norach, był przez pewien czas jakby drugą stolicą moskiewską, a Dymitra zwano „carem tuszyńskim". Obóz zyskał cechy wielkiego osady miejskiej. Zwyczajem ówczesnym ściągali się tam z różnych stron przekupnie z rozmaitymi towarami; oni nie dostarczyły wśród okolicznie, w to można się było zaopatrzyć obficie w kramach tuszyńskich. I tu znowu przekazał nam Inc Marchocki z Marchocic ciekawy, a bez mała sensacyjny szczegół, który w smętną zadumę wtrąca dziś czytelnika jego kart pamiętnikowych. Czytamy — i nie wierzymy własnym oczom. W tym Dymitrowym obozie była nietylko zawadyacka broń polska — tam była także polska siła gospodarcza. Obok przedsiębiorczości orężnej była i przedsiębiorczość — kupiecka. „Kupców samych polskich — zapisuje sobie mimochodem p. Marchocki — bywało i nas i po trzy tysięcy w swym osobnym obozem stawali..." Oświetla nam ta ułamkowa relacya pamiętnikarza, jak potężnym musiał być ów polski handel za Zygmuntów, który tylu kupcami mógł wysyłać kupców po za granice kraju.

Dziś nie starczy go nawet na nasze domowe potrzeby.

Broń, której szczerbiliśmy na obcych i własnych murach, wytrącili nam inni z ręki. Tę broń, niemniej skuteczną, którą narody bronią podstaw swojego bytu, złożyliśmy — dobrowolnie.

A. Chołoniewski.

linia wzdłuż całego kanału, która napadającemu przeciwnikowi sprawi wiele trudności i kłopotu i narazać go może na znaczne ofiary. Nie zadowolniono się jednak tem i w przewidywaniu, że nieprzyjaciel, mimo najeżonych przeszkód, potrafi, usunąwszy je, wedrzeć się w głąb pozycyjnych obwarowań, chcąc uniemożliwić mu dalszy pochód, poczyniono nawet kroki, które umożliwią w krytycznej chwili łatwe zatopienie poszczególnych rowów.

Na wschodniej stronie zabezpieczono sobie tylko przeprawienie na drugą stronę kanału.

Do ewentualnej obrony kanału sprowadzono nadto wielką ilość kanonierek i cały szereg szybkich monitorów, które porozstawiano w różnych miejscach. W Port Said ustawiono pociągi pancerne z dalekonośnemi armatkami. Pociągi te jeżdżą codziennie na linii Port Said—Suez, wzdłuż całego kanału. Ruch osobowy na tej przestrzeni jest już dawno wstrzymany.

W samym kanale, panuje żywy ruch. Codziennie nadchodzą parowce francuskie i angielskie (okrętów neutralnych „ze względów wojskowych" tą drogą stanowczo nie przepuszczają) i wiozą na swych pokładach wojska, najczęściej z Indyi i Australii. Wszędzie mnóstwo robotników. Ale nie tylko sam kanał Suezki obwarowany został według wymagań dzisiejszej sztuki wojennej. Linie obronne pociągnięto także na zachód kanału aż do samego Nilu. Niedawno rozpoczęto pracę przy robotach ziemnych w okręgu Kairo. Także na południowych i zachodnich granicach Egiptu poczyniono wielkie przygotowania i stworzono cały szereg mniejszych i większych fortów. Siłę zbrojną jaką nagromadzono w Egipcie, obliczają oficerowie angielscy na 240.000 ludzi. Składają się na nią wojska angielskie, indyjskie i południowo afrykańskie. Do tego doliczyć można około 50.000 rannych z ostatnich walk na Gallipoli, w Macedonii, Mezopotamii, którzy po wyzdrowieniu mają być wcieleni do tej armii. Znaczną część tej armii rozmieszczono na zachodniej stronie kanału Suezkiego. Resztą wojsk rozłożyła się obozem w okolicach Kairo, zwłaszcza obóz z namiotów powstał w okolicy piramidy Gizeh.

Nadto codziennie prawie w Aleksandryi lądują nowe siły angielskie, które natychmiast odchodzą w głąb kraju ewentualnie nad kanał, tak, że ogólna liczba wojsk stale wzrasta. Równocześnie z temi przygotowaniami wprowadzili Anglicy w samym Egipcie cały szereg obostrzeń. Cenzura prasy jest bardzo ostra; codziennie powtarza się cały szereg aresztowań z powodu błahych nieraz. Kary wymierzają sądy bardzo dotkliwe. Konfiskata majątków jest na porządku dziennym.

Życie obywatela państwa „neutralnego" w Egipcie, nie należy również do przyjemności. Wszędzie uważają go za szpiega i na każdym kroku czynią mu utrudnienia. Ja sam miałem szczęście być dwukrotnie aresztowanym z powodu zarzutu szpiegostwa i tylko dzięki osobnym i dobrym poleceniom zdołałem się uwolnić.

Samo Kairo, najpiękniejsze i największe z miast afrykańskich, międzynarodowa placówka eleganckiego świata w czasach pokojowych, w czasie dzisiejszej wojny uległo znacznej zmianie. Zniknął przedewszystkiem ów „świat elegancki", który jeszcze ubiegłego roku wytchnienia szukał nad uroczemi wodami Nilu. Rozliczne, bogato urządzone hotele, obrócono dziś na szpitale dla rannych lub na koszary dla wojska. Na ulicach spostrzega się prawie samych wojskowych. Obok nich nieliczna ludność tubylcza, żywiąca głęboką nienawiść do Anglików. Kryje się Egipcyanin z tem swojem uczuciem, boi się go wyraźnie objawić, ale w głębi duszy wierzy, a wraz z nim wierzą całe miliony mahometańskiej ludności, że wojna przyniesie im wyswobodzenie.

Żywi nienawiść ta ludność także do osadzonego przez Anglików Sułtana. Życie jego istotnie nie do pozazdroszczenia. Strzeżony, jak więzień, nie opuszcza swego pałacu. Niejednokrotnie chciał zrezygnować ze swojej godności, każda jednak próba spotkała się z groźbami ze strony angielskiej. Lud zaś nieraz już planował zamachy na jego życie.

Liryka chwili.

Blisko półtora roku trwająca wojna podcięła arterye ruchu wydawniczego. Przestały się pojawiać powieści, zbiorki nowel i obrazków, oraz „tomiki" wierszy, w których młodzi poeci i młode poetki skarżą się i płaczą z powodu zawodów w miłości lub prometeizują na przemiany.

Dla handlu księgarskiego, dla drukarń, dla wydawców, rokujących interesa na ogłaszaniu pokupnych płodów beletrystyki, które z prawdziwym artyzmem częstokroć niewiele mają wspólnego, jest to dotkliwy cios. Jest nim niewątpliwie i dla istotnego dorobku literackiego, o ile zatamowanie ruchu wydawniczego uniemożliwiło wypowiedzenie się prawdziwie utalentowanym twórcom. Lecz, że w ciągu tego okresu wyschło źródło, z którego dobywały się przez cały mierne, nie dorzucające żadną niczego do skarbnicy piśmiennictwa; że pornografia przybrana obłudnie w togę społeczno-moralizatorską, a w gruncie rzeczy spekulująca jedynie na zbyt, zmuszona była zamilknąć — tego z pewnością nie żałuje ani krytyka literacka, ani kultura. Nie pojawiają się oddawna za witrynami księgarskiemi nowe książki, fabrykowane bez śladu talentu, lecz ze sprytem, wyczuwającym gust mieszczańskich czytelniczek i czytelników wypożyczalni; nie przybyło kilkadziesiąt powieści buduarowych i takich, o których „się nie mówi"; nie zwiększyła się liczba naśladownictw przyczynkowych, stojących na czele literatury naszej, a to dla jej szczerych miłośników niemałą może być pociechą.

Natomiast wielkie dziejowe wypadki wzniosły i serdeczny znalazły oddźwięk w poezyach natchnionych gorącem ukochaniem Ojczyzny, pisanych łzami i tęsknotą za Polską, która z krwawych lat wojny ma się narodzić. Niby dymy srebrzyste ofiary Abla podniosły się w utworach poetów błagalne modlitwy do niebios o zmiłowanie nad ziemią polską, straszliwym rydwanem wojny podeptaną; zgon bohaterski żołnierza na polu chwały, łzy sierót, nieukojony żal matek, bezmiar niedoli wygnańców, z siedzib odwiecznych wypędzonych, zgliszcza, ruiny, pożary — wszystko to utrwaliło słowo poetyckie. Narodziła się głębokiem uczuciem natchniona, czysta i szlachetna liryka, co wyrosła z wielkich bólów, wielkich pragnień i narodu.

Niedawno zdawaliśmy sprawę z antologii pt. „Pieśń polska w latach wielkiej wojny" wydanej przez p. Lud. Szczepańskiego. Wybór ten, dokonany nader umiejętnie, pod względem ilości nie zbyt obfity, dzięki jednakże jakości pomieszczonych utworów stanowić będzie nieprzemijającej wartości dokument liryczny wiekopomnej doby dziejowej, którą przeżywamy.

Po książce p. Szczepańskiego pojawiła się dwudziesto-arkuszowa „antologia poezyi polskiej z roku wielkiej wojny — „Polska pieśń wojenna" wydana we Lwowie, staraniem lwowskiej delegacyi N. K. N. przez dra Stanisława Łempickiego i dra Adama Fischera. W ogromnym zbiorze znajdujemy mnóstwo wierszy i pieśni wojennych. Podzielić je można na utwory pióra znanych poetów, poetów-legionistów, biorących udział w walkach, a obdarzonych rzetelnym talentem, oraz wiersze autorów, którzy nigdy przedtem utworów swych nie ogłaszali, a pisać zaczęli dopiero teraz, w chwili wielkich wstrząśnień wojennych.

Jak widać z zestawienia obu antologii inną intencyą kierował się krakowski wydawca, inną lwowscy. P. Szczepański, wychodząc z zasady: „non multum sed multa", uczynił wybór; nie chciał, aby liryczny dokument chwili wydany przez niego obejmował wszystko, co ktokolwiek w formie rymowanej napisał, nie zadowalał się samą myślą poczciwą autora i sercem odczuwającem niedolę ogólną. P. p. Łempicki i Fischer natomiast, jak z rozmiarów książki widać, postanowili zebrać jak najwięcej utworów wierszowanych, powstałych w czasie wojny, w skromnej mierze kierując się względami krytycznymi. Stąd przewaga rzeczy autorów nowych, nieznanych, częstokroć inicyałami znaczonych.

Jeden z recenzentów lwowskich, pisząc o „Polskiej pieśni wojennej", powiada: „Któżby się ważył wejść między te strofy najserdeczniejsze z lancetem oceny estetycznej i czy nie zadrżałaby ci ręka, krytyku literacki, gdybyś począł analizować wartość pieśni z okopów". Niewątpliwie, do pieśni z okopów niktby lancetu krytycznego nie przykładał. Nietylko krytyk, lecz każdy Polak odnosi się do nich z pietyzmem. Wartość ich w szczerości, bezpośredniości, serdeczności odczucia. Poza tem przez to są nam drogie, że autorowie ich, to polscy żołnierze, co między napisaniem jednej strofki a drugiej nieraz może życie nieśli w ofierze. Ale w książce lwowskiej znajdujemy i wiersze — nie z okopów, próby poczciwą intencyą jeno dyktowane: wątpić też należy, czy pomieszczenie ich w zbiorze było nieodzownem do uzupełnienia antologii. Że wydawcy lwowscy sami z dzieła swego niezupełnie są zadowoleni i widzą jego usterki, dowodzi przedmowa, w której proszą autorów i czytelników o wskazywanie braków. Mimo usterek jednak „Polska pieśń wojenna" jest wydawnictwem zasługującem na poparcie. Trwałą jego wartość stanowią utwory Kasprowicza, Rydla, Orkana, Dębickiego, Słońskiego, Żuławskiego, Daniłowskiego i in., co już przed wojną zyskali należne uznanie. Dalej liczne wiersze i pieśni poetów, których wydała wojna, jak Józef Mączak, Teslar, Relidzyński, Stwora; Denhoff. Czarnocki, oraz pewne sercem pisane utwory, w których lubo forma szwankuje, to jednak wzrusza szczerość sentymentu. Do rozpowszechnienia książki przyczyni się zapewne i to, że część dochodu przeznaczono na fundusz wdów i sierot po legionistach.

Jeden z wybitniejszych młodych poetów chwili p. Stanisław Stwora zebrał w tomik od roku z górą ogłaszane w czasopismach poezye i wydał je pod tytułem „Strofy czasu 1914—1915". W utworach tych łączy się prostota, częstokroć siła wypowiedzenia z gorącem odczuciem wszystkiego, do czego naród dzisiaj tęskni, w co wierzy, co kocha, czci i czego pragnie. W niektórych wierszach brzmią mocne podźwięki wiary, dobywa się „krzyk, co jest z tego pokolenia", inne cechuje namaszczenie inne znów rzewny liryzm. Wiersz „Warszawo!" drukowany, a następnie wypowiedziany na uroczystem przedstawieniu w teatrze miejskim po ustąpieniu Rosyan z Warszawy, natchniony ukochaniem i czcią dla stolicy Polski, mieści w sobie może najwięcej cech talentu uzdolnionego poety. Z szczerą sympatyą witamy ten zbiorek, ufając, że w następnym autor, dokonawszy starannego wyboru, da rzeczy, w których mniej już będzie znać śladów wpływu wielkich poetów. Zależność taka jest u młodych pisarzy prawie nieunikniona, lecz winni się od niej wyzwalać, szukając własnego wyrazu na oddanie swych myśli i uczuć.

E. Z.

Na kongresie wiedeńskim

Zawarty po abdykacyi Napoleona traktat paryski (30 maja 1814 r.) pozostawił rozstrzygnięcie pozostałych spornych spraw terytoryalnych Kongresowi, mającemu obradować w Wiedniu. Do zwołania pełnomocników „wszystkich mocarstw, które po jednej lub drugiej stronie brały udział w wojnie" upoważniono cztery główne państwa koalicyjne: Anglię, Austryę, Prusy i Rosyę, zastrzegając, aby obrady kongresowe rozpoczęły się przed upływem dwu miesięcy.

Do Kongresu przywiązywano wielkie nadzieje. Miał on przywrócić porządek w Europie, a uwzględnić nie tylko interesy państw i t. zw. równowagi europejskiej, ale i prawa narodowe. Mówiono o tem dość głośno, a nawet w parlamencie angielskim wyrażono życzenie, „aby przyszły kongres dał rodzajowi ludzkiemu przykład, na którym mu zbywa, szczerości między rządami w przyjęciu zasad sprawiedliwości i umiarkowania", poczem mowca oświadczył, że „szczególniej na myśli ma Polskę". Uwzględnienie praw narodowych przy zawieraniu traktatów, była to rzecz całkiem nowa, dotychczas nie spotykana. Z krajami obchodzono się dotąd jako z własnością panujących, którzy mogli je nabyć lub stracić, zamienić lub przehandlować. Miecz, układy, prawa spadkowe rozstrzygały o losie narodów; nikt się o ich wolę nie pytał. Unia polsko-litewska była wyjątkiem...

Termin minął — kongresu nie zwołano. Przyczyną była podróż cesarza Aleksandra do Holandyi i Anglii, którą pragnął przychylnie usposobić dla swych projektów, tyczących się Polski i Saksonii. Urzędująca w Paryżu delegacya mocarstw odłożyła termin do 1. września, ale wkrótce musiała go przesunąć na 1. października, gdyż monarcha rosyjski odczuł jeszcze potrzebę odwiedzenia Petersburga.

We wrześniu więc dopiero zaczęli się zjeżdżać dyplomaci wszech państw i państewek do stolicy naddunajskiej. Była ich ogromna ciżba. Każde państwo wysłało po dwu lub trzech przedstawicieli, prócz doradców dyplomatycznych, agentów i urzędników kancelaryjnych. Liczono wszystkich tych dyplomatów na 450 — samych pełnomocników monarchów panujących i książąt medyatyzowanych było 143.

Ze strony np. samej Rosyi, oprócz trzech przedstawicieli: hr. Razumowskiego, hr. Nesselbrodego i hr. Stackelberga, brali udział w akcyi dyplomatycznej: Korsykanin Pozzo di Borgio, Grek Kapodistrias (Capo d'Istria), b. minister pruski Stein, bar. Anstett i zabrany po drodze przez cesarza z Puław ks. Adam Czartoryski. Sztab ten miał odpowiednią liczbę agentów i urzędników.

Nie pojawili się na Kongresie tylko przedstawiciele Porty ottomańskiej i Księstwa Warszawskiego, bo ich nie wezwano. Z nieproszonych przybyli przedstawiciele Saksonii, Neapolu i Genui — ale ich niedopuszczono. Prawo narodów poniosło tu pierwszą porażkę, bo jeżeli kto, to Saksonia, Księstwo Warszawskie i kraje włoskie powinny były mieć głos tam, gdzie przedewszystkiem o ich losach miano stanowić.

Ale większość dopuszczonych dyplomatów pozostała za kulisami, lub co najwyżej, odegrała rolę statystów. Odrazu bowiem okazało się, że mniejsi mają słuchać, a więksi decydować. Już na przygotowawczych konferencyach czterech sprzymierzonych mocarstw, postanowiono między innemi omówić między sobą wszystkie kwestye i dopiero zapadłe uchwały poddać pod dyskusyę. „Nader ważną jest rzeczą — były końcowe słowa protokółu, — aby nie wchodzić z pełnomocnikami Francyi w traktowanie, aż po załatwieniu przedmiotów". Oparł się temu lord Castlereagh, wskutek czego zaproszono Talleyranda, aby asystował w konferencyach przygotowawczych. Talleyrand, przyprowadziwszy ze sobą nieproszonego pełnomocnika hiszpańskiego, Labratora, zapytał się energicznie: w jakim wezwano go charakterze? Stanowczością swą, sprytem przeprowadził, że komitet dyrygujący składał się z przedstawicieli ośmiu mocarstw, na traktacie paryskim podpisanych: Anglii, Austryi, Francyi, Rosyi, Prus, Hiszpanii, Szwecyi i Portugalii. Uznano wprowadzoną przez Talleyranda nowość: legitymizm (legitemiti), prawowitość władczą, co między innemi zabezpieczało prawa króla saskiego, skazanego przez Rosyę na utratę tronu i wszystkich posiadłości na rzecz Prus. Na wniosek też Talleyranda, do uchwały o zasadach Kongresu włożono ustęp, że rezultat prac kongresowych powinien odpowiadać zasadom prawa publicznego (aux principes du droit publique). Charakterystycznem było starcie się jego w tej sprawie z pełnomocnikami pruskimi. „Poco uchwalać to, co się samo przez się rozumie", zauważył ks. Hardenberg. „Jeszcze lepiej się zrozumie, gdy to będzie spisane" — odrzekł Talleyrand. Na to uczony filolog Humbold (brat wielkiego przyrodnika): „Co tu ma prawo publiczne?" — „Dzięki jemu, pan się tu znajdujesz" — brzmiała odpowiedź Talleyranda.

Otwarcie Kongresu oznaczono na 1. listopada, aby tymczasem wyrównać nieporozumienia w sprawie polskiej i saskiej. Ale nie dało się tego na czas przeprowadzić, i de facto Kongres całkiem nie został otwarty. Obradowały jedynie komisye, wybierane przez komitet ośmiu mocarstw (comitee d'huits), który z „propozycyjnego", jakim być miał, stał się decydującym. Już 13. listopada postanowił on, iż „ze względu na stan negocyacyi szczegółowych, zebranie ogólne... będzie pożyteczniej odłożyć". I odłożono je tak, że go zupełnie nie było, mimo, że to ogólne zebranie miało być „najwyższym moderatorem i źródłem władzy".

Rzeczywiście stan negocyacyi w sprawach polskiej i saskiej był rozpaczliwy. Anglia, Austrya i Francya nie chciały zgodzić się tak na utworzenie konstytucyjnego Księstwa Polskiego pod berłem monarchów rosyjskich, jak na przyłączenie całej Saksonii do Prus. Wyrażały one życzenie wskrzeszenia niepodległej Polski w granicach 1772 r., pragnąc tym sposobem zmusić cesarza Aleksandra do wyrzeczenia się projektu, zagrażającego równowadze europejskiej. Nie mogąc przeprowadzić tego „wielkiego dobrodziejstwa" (słowa Talleyranda), żądały podziału Księstwa Warszawskiego... Naprężenie doszło do tego, że w dn. 3 stycznia 1815 r. zawarty został tajny traktat zaczepno-odporny między Anglią, Austryą i Francyą, do którego przystąpiły Bawarya, Hanower, Holandya i Sardynia. Już w grudniu przygotowywano się do wojny...

Nie przyszło jednak do niej. Konferencye między samymi monarchami: Rosyi, Prus i Austryi doprowadziły do ustępstw i „wyrównań". Już w połowie stycznia zdecydowano ostatecznie los Polski i Saksonii, co stwierdzono protokółem komisyi 11. lutego.

Powrót Napoleona z Elby nie przerwał obrad Kongresu, a raczej komisyi i komitetu ośmiu. Nie on też wpłynął na los Polski, co, jak pacierz za panią matką, powtarzają wszyscy historycy, zostający na bakier z chronologią. Radzono już tylko nad innemi zmianami terytoryalnemi i nad wewnętrznym ustrojem Niemiec...

Obradom tym nie przewodniczyła żadna myśl głębsza. Prawa i dobro narodów pokopano, uwzględniając wyłącznie interesy dynastyczne i „silniejszych". Uchwalono temu a temu państwu czy monarsze dać tyle a tyle potrzebnych mu mil kwadratowych lub „dusz" poddanych — i szukano na mapie, skąd mu ich dostarczyć. Krajano więc i sztukowano ziemie i narody... Ba, było z czego krajać i sztukować, bo „dusz" zawojowanych na Napoleonie i jego sprzymierzeńcach obliczyła komisya statystyczna na 31.751,639!

A jednocześnie świetnie się bawiono, zwłaszcza w pierwszych miesiącach kongresu (październik-luty). Bo zebrało się też w Wiedniu „towarzystwo", jakiego nigdy przedtem i potem żadna stolica Europy jednocześnie nie widziała. Oprócz cesarza Aleksandra i króla pruskiego Fryderyka Wilhelma III, przebywali w Wiedniu królowie: bawarski, duński i wirtemberski ,w. ks. hessen-kasselski, w. ks. badeń-

DR KLEMENS BĄKOWSKI.

Srebrna sala na zamku krakowskim.

Wstępując głównymi schodami w północnem skrzydle pałacu na Wawelu, znajdujemy się tak na pierwszem jak i drugiem piętrze na podeście, z którego na prawo i lewo prowadzą wejścia do pokoi: na prawo znajdowały się zazwyczaj pokoje królowych, na lewo recepcyjne, a dalej znowu prywatne królewskie.

Na pierwszem piętrze na lewo wchodzi się do pokoju, który w stosunku do innych nazywa się małym, gdyż ma szerokość tylko jednego okna, ale zajmującego całą szerokość pałacu, jak przeważna liczba pokoi zamkowych, a więc właściwie jest to pokaźny pokój, stanowiący jakby przedpokój do następnej wielkiej sali, zwanej od XVII-go wieku „s r e b r n ą", ponieważ w sali tej znajdował się wielki kredens (służba, kredencya, abax) ze srebrami stołowemi, prawdopodobnie była to więc izba s t o ł o w a.

Wejście do pokoju wyżej wspomnianego jednookiennego, stanowiącego jakby ogromny przedpokój, antykamerę do następnej sali srebrnej, prowadzi przez obramienie kamienne, prawdopodobnie marmurowe, bo pod wapiennem pobieleniem trudno materyał ocenić, nad nadprożem gzems zakończony trójkątnym tympanonem. Takie same obramienia mają drzwi na prawo oraz drzwi na parterze i na drugiem piętrze w tem samem położeniu murowane, a wszystkie pochodzą z roku około 1600, z czasów przeróbek Zygmunta III.

Na prawo z tego przedpokoju prowadzą drzwi na galeryę (zamurowane wedle inwentarza z r. 1787), mające od strony galeryi kamienne odrzwia z nadprożem renesansowem, mieszczącem w środku małą tarczę z literą S. Nadproże to czysto renesansowe, bez reminiscencyi gotyckich, widocznych we wszystkich prawie odrzwiach Zygmunta I., pochodzi więc nie z epoki przebudowy północnego skrzydła pałacu (r. 1510—1515), lecz zostało widocznie wprawione dodatkowo później, ale jeszcze za panowania Zygmunta, którego cyfra zdobi nadproże.

Przedpokój w mowie będący posiada jeszcze jeden zabytek z pierwotnej budowy Zygmuntowskiej, t. j. obramienie drzwi prowadzących do sali srebrnej, o nadprożu ze splotami z gotyckich lasek, z renesansowym gzemsem nad niemi, czyli jak dawniej go nazywano: ocapem. Zachowała się też część posadzki kamiennej przykryta podłogą.

Przez te drzwi wchodzi się do dużej srebrnej sali, o trzech wielkich oknach ku ulicy Kanonicznej i tyluż ku dziedzińcowi, odartej z wszelkich ozdób, z sufitem wspartym na czterech drewnianych wcale zgrabnych kolumnach. (Sufit podtrzymują właściwie cztery kwadratowe belki, które okryto tarcicami na okrągło i ozdobiono u góry skromnemi głowicami, a u dołu bazami). Za tą salą następuje pokój srebrowych t. j. dworzan, którzy mieli dozór nad kredensem i nad zmianą sreber podczas jedzenia.

Taki jest dzisiejszy stan tej części pałacu, a o wspaniałości dawnej podajemy okruchy historyczne, jakie udało się zebrać z przeszłości: Północne skrzydło pałacu, w którem mieści się sala srebrna, było już przed Zygmuntem I. piętrowe, w części bliższej Kurzej Stopy niewątpliwie dwupiętrowe, a ponieważ i skrzydło zachodnie okazuje reszty drugiego piętra gotyckie, przeto prawdopodobnie i partya budynku między powyższemi dwupiętrowemi częściami pałacu, mieszcząca srebrną salę, była dwupiętrowa.

W tej części północnej wspomina Długosz wielką salę, w której odbywała się w r. 1431 dysputa.

Mury parterowe wewnętrzne zdają się wykluczać istnienie wielkiej sali na parterze — owa więc wielka izba dysputy znajdować się musiała na piętrze.

W przebudowanem tem skrzydle przez Zygmunta I. w latach 1510—1515 w jednolitą całość, mieści się na pierwszem piętrze powyższa duża sala, zwana srebrną — nad nią na drugiem piętrze zwana senatorską, jeszcze większa, bo zajmuje powierzchnię nad srebrną salą i nad jej antykamerą. Zygmunt I. zachował w murach głównych partye dawniejsze, o ile one nadawały się do jego planu, jak tego dowodzą remanenty gotyckie we wszystkich skrzydłach pałacu, prawdopodobnie więc obie wielkie sale w północnem skrzydle, srebrna i senatorska, powstały na planie dawnego budynku, czyli jedna z tych sal powstała na miejscu owej wielkiej sali Jagiełłowej.

Decyusz opisując wesele Zygmunta I. z Boną wspomina o pałacu następujące szczegóły: „Dnia 18 kwietnia zasiedli do królewskiej uczty w sali po pierwszych schodach (na I. p.), która była złotym brokatem wkoło ubrana, a przy wejściu był kredens, błyszczący wielu srebrami i złotemi naczyniami.... Dnia 19 kwietnia była w drugiej sali uczta, która jak królewska jest wspaniała. A tu nie mogę pominąć zmyślności króla (industria), który tu przewyższył poprzedników. Zamek ten zaczął nowymi budynkami zdobić. W ciągu dziesięciu lat ogromnym kosztem dwa pałace (skrzydło zachodnie i północne) od fundamentu przebudował. Pod ziemią cele na wino umieścił, na równi sklepienia, które Włosi volte nazywają na różne porządki przeznaczone, przedewszystkiem na Skarb królewski i strażników, a obok dla wielkorządcy krak. Te (budowy) otoczone są pięknym na wysokich kolumnach kamiennych łukowem obejściem, z którego przez pierwsze schody idzie się do pokoju, a z tego do sali, gdzie była uczta *) i do drugiego obejścia (ganku na I. p.), potem przez drugie od ziemi schody (II. piętro) mieszkanie króla i pałac królowej, siedem ubikacyj, każda o szczególnej ozdobie, zwyczajem włoskim z rozetami złoconemi u góry, wszędzie rozrzuconemi (na pułapach), a trzecie obejście (ganek II. p.) z wysokiemi kolumnami, także złotemi rozetami ubrane. Tak oba skrzydła obejmują połowę zamku razem z oficynami kuchennemi, które wybudowano od fundamentów z rozkazu Królewskiej Wysokości w ten sposób, aby wystarczyły na dwa skrzydła mające się dobudować, aby mógł doprowadzić zamek do czworokątnego kształtu.... Wracając do uczty — dodaje Decyusz — tańczono potem zwyczajem włoskim, niemieckim i naszym, potem udano się do sypialni.... Łoże królewskie było najwykwintniej zrobione, u góry złotemi rozetami przykryte (baldachim), że na palec nie było pustego miejsca, sztuką malarzy zewsząd ozdobione, ścianami złoconemi połączone. Posadzka zrobiona z szarego kamienia, wszędzie była czerwonem suknem pokryta".

Jako architekta skrzydeł zachodniego i północnego podaje Decyusz F r a n c i s z k a W ł o c h a, zmarłego 1516 r. Według źródeł włoskich nosi on nazwisko d e l l a L o r a, a udał się do Polski w r. 1509, gdzie zmarł w 1516 r. — dwóch więc Franciszków Włochów prowadziło budowę; pierwszy, którego nazwiska nie znamy do r. 1509, w skrzydle zachodniem, autor pierwszych renesansowych rzeźb w łuku bramnym i erkerze II. piętra — i drugi od r. 1509, della Lora, który kierował budową skrzydła północnego *) i wprowadził już arkadowanie, które następni budowniczowie konsekwentnie potem dokoła dziedzińca kontynuowali.

Pierwszy najazd szwedzki (1655—1657) pozbawił pałac ozdób ruchomych, których ukryć lub wywieść nie zdołano, kwaterunek żołdactwa poczynił ruinę w oknach, drzwiach, ścianach, palono w piecach co pod rękę wpadło, ale sam budynek ocalał — dopiero drugi najazd szwedzki przyniósł prócz ponownego rabunku ośmiodniowy pożar w r. 1702, który pochłonął pierwsze i drugie piętro aż po schody poboczne, tak, że tylko część wschodnio-południowa ocalała. Granicę tę pożaru pokazuje malowany nad galeryą drugiego piętra fryz ścienny, pozostały dotąd i odnowiony w owej niespalonej części.

Jak w tej epoce i później wyglądała sala srebrna i jej antikamera, opisują późniejsze rewizye zamkowe, z których przytaczamy odnośne dość skąpe opisy:

A n t y k a m e r a :

Rewizya w r. 1665 wymienia tu: ław staroświeckich trzy na kształt skrzyń, stół wielki, zedlów z poręczami dwa, pieca niemasz, a do drugiego tylko czeluście, które się blachą zamykają żelazną, na krzyż obite. Z tego pokoju drzwi do izby wielkiej, kędy skarbiec (srebra w kredensie) bywał, dębowe, stolarską robotą, z zamkiem ingrychtowym, na zawiasach żelaznych z hantabą — rewizya z roku 1709 znajduje u wejścia drzwi pasami obite z rumów dobyte, za niemi sień (właściwie przedpokój) zawalona górnem piętrem, okna puste wygorzałe....

Po naprawach z r. 1726—1729 rewizya z r. 1739 znajduje ten pokój już naprawionym: o drzwiach kamiennych z gzemsem także kamiennym s z a f i a s t y m (nadpsowanym) drzwi drewniane, blachą żelazną w kwiaty robioną obite, i pasami żelaznymi na krzyż ujęte, na zawiasach i hakach dwóch, z zamkiem bez klucza, z klamką, wrzeciądzem i dwiema skoblami żelaznemi. Do którego to pokoju wszedłszy, jest w nim p o s a d z k a z k a m i e n i a c i o s a n e g o (miejscami trochę powykruszana). S u f i t g i p s o w y lubo

*) Z tego określenia możnaby wnosić, że mowa o sali, którą potem srebrną nazwano.

*) Dr S. Tomkowicz: Wawel I.

ski, królewicze bawarski i wirtemberski, w. ks Konstanty, wszyscy arcyksiążęta austryaccy, ks. August pruski, ks. August saski, — drobnych książąt i książątek niemieckich zwalił się nad Dunaj cały legion. Niektórym monarchom towarzyszyły ich połowice i kuzynki. A bodaj czy na kilku szpaltach druku dałoby się pomięścić spis członków arystokracyi i dostojników całej Europy, tych książąt, hrabiów, wicehrabiów, lordów, margrabiów, kawalerów, komandorów, baronów i jak się to tam jeszcze nazywa i tytułuje.

A gdzie zbierze się taka śmietanka, tam trzeba ją czemś zająć i zabawić. Gościnność dworu austryackiego była bezprzykładna — pomysłowość osobnej komisyi zabaw przeszła do historyi. Co to były za uczty, polowania, co za bale, co za przedstawienia! Sama wspaniała szlichtada miała kosztować 800.000 guldenów. Kroniki też zapisały złotemi głoskami słynny karuzel w Burgu oraz zstąpienie bogów i bogiń Olimpu w postaciach najdorodniejszych okazów arystokracyi.....

Zabawy szły szybko, jedna za drugą, w przeciwstawieniu do prac kongresowych, które wlokły się pomału. Stąd dowcipny książę de Ligne wyrzekł w przeddzień śmierci: „Le Congres danse bien, mais il ne marche pas.

A jednak w końcu... domaszerował.

Austrya otrzymała Lombardyę, Wenecyę, Illirię, Tyrol z Voralbergiem i Salcburgiem, Wieliczkę z okręgiem i zwrot od Rosyi „cyrkułów": Złoczowskiego, Brzeżańskiego, Tarnopolskiego i Zaleszczyckiego, odpadłych od Galicyi w r. 1809.

Stosunkowo jeszcze większym był nabytek Prus. Wzrosły w dwójnasób i zostały przez to napowrót większem mocarstwem europejskiem. Dostały ⅖ Saksonii z twierdzami: Torgau i Wittenberg, dzisiejszą prowincyę renską, Westfalię, Pomeranię szwedzką z wyspą Rugją, Gdańsk i wreszcie departamenty: poznański i bydgoski Księstwa Warszawskiego, które weszły w skład Prus pod nazwą W. Ks. Poznańskiego.

Kraków z 23 milowym okręgiem został „po wszystkie czasy" miastem „wolnem, niepodległem i ściśle neutralnem" pod opieką trzech dworów.

Po amputacyi dokładnej Księstwa Warszawskiego z reszty jego ziem utworzono Królestwo Polskie, połączone z Cesarstwem Rosyjskiem nieodwołalnie przez swą konstytucyę (lie irrevocablement par sa constitution). Cesarz rosyjski do innych tytułów przybierał tytuł króla (Tsar) polskiego.

Z Belgii i Stanów Niderlandzkich utworzono Królestwo Niderlandzkie pod berłem Wilhelma, ks. Oranji.

Anglia otrzymała część kolonij holenderskich, potwierdzenie własności Helgolandu, Malty, oraz protektorat nad wyspami jońskiemi.

Hanower został Królestwem i otrzymał Hildesheim, wschodnią Fryzlandyę i cząstkę Westfalii.

Bawaryę, za odstąpienie Austryi Tyrolu, wynagrodzono lewym brzegiem Renu (Pfalz), Ansbachem, Beureutem, Würzbergiem i Aschaffenburg·em.

Dania, która już poprzednio oddała Helgoland Anglii i Norwegię Szwecyi za szwedzką Pomeranię — teraz musiała odstąpić Pomeranię, a przyjąć wzamian Lauenburg i gotówką (to najlepsze, bo pewne!) 2 miljony talarów.

Do Szwajcaryi, ogłoszonej za wiecznie neutralna, przyłączono trzy nowe kantony.

Włochy de facto dostały się wyłącznie pod panowanie Austryi. Wprawdzie ona sama wzięła tylko Lombardyę i Wenecyę, ale na tronie toskańskim posadziła arcyksięcia austryackiego Ferdynanda III. Piombino, Elbę i Modenę objął arcyksiążę austryacki, Franciszek IV. Parma dostała się arcyksiężnej Maryi Ludwice, b. żonie Napoleona. Utrzymała się Sardynia, obdarowana nadto Księstwem Genueńskiem, i Neapol pod rządami Murata — ten ostatni jednak wkrótce, za przejście na stronę Napoleona, dostał dymisyę i został rozstrzelany, a rządy po nim objął Ferdynand I. austryacki. Państwo kościelne straciło część Ferrary na korzyść Austryi i Avignon na rzecz Ludwika XVIII.

Z państewkami niemieckiemi zrobiono porządek gruntowny. Skasowano całe ich szeregi, niektóre księstwa podniesiono do wielkich Księstw. Utworzono 43 państw (królestw, wolnych miast) zamiast dawnych 350. Połączono te państwa w jeden Związek niemiecki i narzucono im bardzo „wązkie" konstytucye.

Prócz tego, wynurzono czułe życzenie, aby ustał handel niewolnikami... Chciano to nawet uchwalić, ale powodowana miłością ludzkości Anglia nie chciała sobie i innym psuć tego interesu.

Taki był rezultat balów, szlichtad i obrad kongresowych.

Padły ich ofiarą głównie Polska i Włochy. Ale czego się nie robi dla porządku, równowagi i wiecznego pokoju!

Niestety ten wieczny pokój został już w czasie Kongresu zamącony, a po Waterloo naruszono natychmiast uchwały Kongresu dla ukarania Francyi, której „sprostowano" nieco granice.

Nastały wszędzie czasy ucisku i wzmożonej reakcyi pod protektoratem „Świętego Przymierza". **Kazimierz Bartoszewicz.**

JÓZEF GAŁUSZKA.

W wigilijną noc.

Grają hymn dzwony na wieżach kościoła
grudniową nocą po świecie,
głoszą na miasta i na ciche sioła,
że zeszedł do nas Bóg — Dziecię.

Spokój ogłaszasz narodzony Chryste
spokój ludzkości na wieki,
a tam przez nasze krainy ojczyste
płyną łez rzeki, krwi rzeki.

Dziś Cię nie przyjmą w naszej polskiej chacie,
bo jej nie stało dla Ciebie,
więc zostań Dziecię w bóstwa majestacie,
w Swojem królestwie, tam w niebie.

Bo z polskiej chaty tylko trochę zgliszczy,
na nich głód usiadł łakomy,
a wicher mroźny po ugorach świszczy;
brakłoby dla Cię i słomy...

I w sercach polskich by Ci zimno było
i w piersi polskiej Dziecino,
bo one martwe, leżą pod mogiłą,
pod przesiąkniętą krwią gliną.

Więc zostań Chryste w niebiańskiej komnacie,
bo zejdziesz Dziecię tu poto,
że Cię nie przyjmą nawet w chłopskiej chacie,
że Cię zostawią sierotą...

19 4 r.

Miłuj Polaka jak siebie samego

Z wież kościołów w krwią i łzami zalanej, ogromem nieszczęść dotkniętej ziemi naszej, o ile oszczędziła je pożoga wojenna, zwiastują dziś dzwony wielkie święto miłości, z której się poczęło owe najwznioślejsze dla ludzi „dobrej woli" przykazanie: „miłuj bliźniego jak siebie samego".

A gdy w najeżonym dziś bagnetami i armatami świecie, nawiedzonym już tak długo największą i najstraszniejszą z wojen, jaka spadła na ludzkość, rozdzielając ją na dwa ogromne obozy wrogów przykazanie to brzmi jak anachronizm jakiś z jakichś odległych czasów sielskich, anielskich, to na naszej nieszczęśliwej ziemi, która krwi przelewu winną nie jest, a na której najwięcej jej się przelało, ono anachronizmem nie jest, nim być nie może. Choć bowiem rozdarci, podzieleni i rozgrodzeni granicami, wrogami sobie nie jesteśmy, bliźnimi najbliższymi, braćmi sobie jesteśmy, czy kolebka nasza stała na wielkopolskich równinach, tam, gdzie Polski był początek, czy w zdobnej w malownicze pagórki i rwące potoki ziemi, które zgromadził nasz sędziwy królewski Kraków, gdzie Polski była największa chwała, czy tam, gdzie Wisła, naszych rzek królowa wśród rozległych mazowieckich pól ku Bałtykowi mętne już toczy wody, albo wszędzie tam, gdzie zatknęliśmy proporce braterskiego połączenia, pokojowe czyniąc zdobycze.

Po wiekach wielkiego powodzenia i nieporównanej chwały zmierzch zapadł nad narodem i jego ziemią, bo zatraciliśmy zasoby cnót, które tego powodzenia były zadatkiem i warunkiem, bo ład i moc, oparte na jedności i wspólności celów zamieniły się w swawolę i rozbieżność celów i działania, miłość własnego ja zastąpiła miłość narodu i pospolitego dobra.

Zostało się nam z tych czasów wzniosłe hasło, właściwie toast tylko, powtarzany na każdej uczcie: „Kochajmy się!", ale, że ono pozostało hasłem tylko bez wewnętrznej treści, że ten okrzyk przebrzmiał niezrozumiany przez wieki ostatnie, żeśmy się nie kochali, jak było potrzeba, spotkał nas sromotny upadek, poniewierka i pogarda obcych, dosłownie wszystko, co Skarga proroczym duchem wieki naprzód przewidział i przepowiedział.

I z tegosamego powodu gorące nasze porywy ku odzyskaniu utraconej wolności, oblane hekatombami krwi najlepszych poszły na marne; samolubstwo, zazdrość osobista, zawiść i zaciekłość partyjna brały górę nad tem, co podtrzymuje narody i państwa: salus reipublicae suprema lex esto", wtrącając nas w coraz głębszą otchłań nieszczęść.

Nie wyleczyły nas niestety z tych strasznych wad ciężkie przejścia, jakie przeżywał nasz naród nad Wartą, dolną i środkową Wisłą, nad Wilią i Niemnem, literatura nasza ostatnich czasów więcej obcym niż swoim służyła bogom, przejmowała truciznę obcą, mało myślała o „Tej, która jest jak zdrowie", nie przysposabiała nowych pokoleń do walk o to, co powinno było narodowi być najbliższym i najświętszym celem, aż dopiero Wyspiański rozwichrzonemu i po manowcach błądzącemu społeczeństwu wskazał, gdzie zginął jego „złoty róg".

Stąd poszło, że wielka chwila obecna, w której się ważą losy Europy i jej narodów, zastała nas na ogół nieprzygotowanych, rozdartych już nie sztucznymi granicami, ale w duchowej rozterce zaczęliśmy samych siebie nie rozumieć.

Potworzyły się oryentacye, wzajemnie się zwalczające i wykluczające, a co gorsza, odsłaniające nasze wady i brak jednego celu wobec naszych przeciwników. Jedna dzielnica nie rozumiała drugiej. Tej, która najwięcej walczyła i cierpiała, zarzucała druga, że jej brak idealizmu, że jest zmateryalizowana, drugiej która podobnie jak pierwsza rozpięta była na krzyżu i najcięższe przechodziła katusze moralne, że sprzyja własnemu prześladowcy, w tej trzeciej, której pod względem narodowym było najlżej, posądzano dwie siostry-męczennice o krzyżowanie jej planów z pobudek materyalistycznych, aż doszło do tego, że sprawy wspólne całego narodu przed obce wytaczano forum do rozsądzania naszych nieporozumień wewnętrznych, które przecież łatwo można wytłomaczyć odrębnem bytowaniem każdej.

A i w tej trzeciej, czy było i jest owo konieczne podporządkowanie interesów jednostek i partyi pod ogólny interes narodu? Czy zaniechano dawnych tak małostkowych a tak szkodliwych swarów, choćby tylko w chwili, gdy chodzi o byt i przyszłość nie jej jednej, ale całego narodu?

Była chwila promienna, w której zdawało się, że stara kość niezgody zostanie pogrzebaną na zawsze, że to, co dzieli braci od braci, nie odżyje już w dawnej potwornej formie.

I ta piękna chwila zastała pokolenie niezdolne do zgodnego współżycia i do ujawnienia siły własnej wobec postronnych. Wzajemne walki, zazdrości, zawiści partyjne, wstrętne rekryminacye nawet przed obcem forum zniweczyły, co chwila pojednania i porozumienia w walce dla jednego celu dać mogła całemu społeczeństwu, a choćby tylko tej jednej dzielnicy.

Czyż nie jest bolesnem, patrzeć na podejmowanie dopiero teraz mozolnych wysiłków celem zebrania i zgromadzenia pod jeden sztandar narodowy tych wszystkich, którzy mimo owego sztucznego, jak się okazało, zespolenia z pierwszych dni wojny chadzali luzem i pozostawali poza nawiasem społeczeństwa. Czyż te czynniki i kierowane przez nie żywioły nie powinny były już wtedy zarzucić własnych interesów partyjnych i podporządkować ich ogólnemu interesowi narodu?

Miłości nam brak w dążeniu do zrozumienia i porozumienia się w sprawie, obchodzącej cały ogół bez względu na różnice warstw i partyi. „Primum vivere, deinde philosophari!"

Patrzmy na postronnych, którzy w walce z nami umieli pohamować względy i interesa partyjne, dzięki czemu osiągnęli swoje sukcesy nad nami. Szli przeciw nam ławą, nie zaniedbywali najmniejszej nawet placówki, nie lekceważyli sprawy, choćby na pozór mało ważnej, około każdej krzątali się zawsze z nadzwyczajną systematycznością, gorliwością, ruchliwością, pracowitością i ofiarnością; każdy pracownik, bez względu na osobiste czy partyjne poglądy, wielki czy mały spełniał sumiennie przypadający na niego obowiązek, uważając się za szermierza ogólnej sprawy. A choć tak często przed wojną o złe walczyli, jaką w tem działaniu okazywali solidarność, karność, wytrwałość i ofiarność!

A my?

Wszak tylko o dobre walczyć mamy, nie o zabieranie cudzej własności, tylko o uratowanie tego, co nasze, co odziedziczyliśmy po naszych przodkach, aby je przekazać dalszym, daj Boże, szczęśliwszym pokoleniom, o naszą ziemię, nasz język, naszą rodzimą kulturę, tradycye i obyczaj, o to, co stanowi treść życia narodu, który nie chce abdykować, tylko pragnie żyć i walczyć o lepsze jutro.

Czy do tej świętej walki: „pro aris et focis" jesteśmy nawet w tej wielkiej dziejowej chwili tak przygotowani, jak tego Ojczyzna ma prawo od nas żądać? Czy możemy się poszczycić taką solidarnością, karnością i wytrwałością jak ci, którzy tym cnotom obywatelskim zawdzięczają swoje dotychczasowe sukcesy?

Możemy i musimy, jeżeli żyć i ostać się pragniemy, przeciwstawić im większe jeszcze cnoty, miejsce zazdrości, zawiści, prywaty zająć musi wielka miłość własnego narodu i wszystkich jego dzieci, musimy odpowiednio przystosować do siebie wzniosłe Chrystusowe przykazanie o miłości bliźniego, mając zawsze w sercu i czynie przykazanie:

Miłuj Polaka jak siebie samego!

Niech przesądy i uprzedzenia partyjne i polityczne przestaną dzielić dzieci jednej ziemi i narodu, niech względy na osoby i stronnictwa nie osłabiają więcej działania mężów, powołanych do obrony zagrożonej zewsząd polskości, niech zgliszcza i ruiny na naszej krwią przesiąkłej ziemi zjednoczą nas w jedną wielką miłością bratnią połączoną rodzinę. Nie opierajmy przyszłości na pomocy postronnej, zawsze złudnej i zwodnej, nie bierzmy od postronnych wskazań dla naszej narodowej obrony, z siebie samych czerpmy siłę i moc do osiągnięcia naszych ideałów, a przedewszystkiem zorganizujmy się w jeden silny, solidarny i karny obóz narodowy, w którym każdy mąż dobrej woli znajdzie dla siebie odpowiednie miejsce i w którym każdy ochotnie pilnować będzie powierzonego mu posterunku.

Wtedy dopiero pełnem znaczenia i życia stanie się dla nas niezrozumiane przez wieki hasło naszych przodków: „Kochajmy się", skupiające w sobie całą treść życia narodu, całą, lepszej przyszłości naukę i tajemnicę naszego żywota, o którem tak trafnie powiedział Kraszewski, że w niem „mieści się wszystko, cześć dla przodków, którzy się na ten symbol zdobyli, braterstwo... siła... zmartwychwstanie... zwycięstwo!"

Fr. Salezy Krysiak.

List Bułgara o Polsce.

Półtora roku mija od czasu, jak ukazał się na łamach naszego pisma artykuł, powtórzony za innemi pismami p. t. „Kultura polska zbliża się do Bułgarów".

Poinformowani przez naszych przyjaciół i współpracowników o bardzo niegościnnem obejściu się pewnych Bułgarów w Sofii z pewną publicystką polską, która się wybrała do Bułgaryi celem wygłoszenia tam kilku odczytów o Polsce, jej dziejach i literaturze — uważaliśmy za stosowne dać wyraz naszemu niemałemu zdziwieniu i rozczarowaniu w przedruku wspomnianego artykułu.

Tymczasem rzecz dotarła do Bułgaryi i odezwała się bardzo głośnem echem i bardzo znamiennem dla samej kwestyi, poruszonej w artykule, oraz dla stosunku Polaków do Bułgarów. Dzienniki bułgarskie jak: „Dnewnik", „Utro", „Kambana", „Mir" i i. w szeregu artykułów i sprawozdań roztrząsały sprawę polskiej publicystki i przyczyny jej niepowodzenia w Sofii. Zabierali głos po kolei wszyscy informatorzy, do których się zwracała, wyjaśniając powody nieporozumienia, nawet p. S. Bobczew, głowa rusofilów bułgarskich uważał za stosowne usprawiedliwić się ze swego postąpienia z p. W.

Z drugiej strony zabrali głos i wszyscy przyjaciele Polaków w Bułgaryi, wskazując, gdzie leży istotna przyczyna całego nieporozumienia i wykazując, iż tkwiła ona w samym zarodku przedsięwzięcia owej publicystki, w samym kierunku i osobistościach, do których się była zwróciła po poradę i pomoc. — Szczególnie prof. Uniw. sofijskiego i szczery przyjaciel Polaków, który dłuższy czas przebywał i w Krakowie, prof. Bojan Penew, pospieszył z obszernym listem otwartym, adresowanym do prof. Maryana Zdziechowskiego, gdzie chciał ogółowi polskiemu wszechstronnie wyjaśnić stosunek Bułgaryi do Polaków i istotne przyczyny niepowodzenia wspomnianej publicystki w Sofii.

Tymczasem list, wysłany do prof. Zdziechowskiego, bawiącego wówczas na Litwie, odcięty został wskutek wybuchu wojny od Krakowa. Prof. Zdziechowski nie miał już możności przesłania go nam. Zapadły sprawy, stokroć ważniejsze, które wszystkie umysły zaprzątnęły.

Dziś jednak, kiedy sprawa stosunków bułgarsko-polskich wyłania się na nowo, a prof. Bojan Penew, otwiera na wszechnicy sofijskiej trzeci kurs swych wykładów o Mickiewiczu, młodzież zaś i inteligencya tłumnie garnie się na jego wykłady, dając najlepszą odpowiedź na zarzuty, czynione ze strony polskiej Bułgarom — spieszymy z ogłoszeniem listu prof. Penewa, którego nam łaskawie użyczył. Spieszymy tem skwapliwiej, że Bułgarya ostatnimi czasy dała szereg dowodów bardzo żywego i bardzo życzliwego zainteresowania się Polakami i sprawą polską. Dowiódł tego zarówno wieczór polski, urządzony przez komitet „Pro Polonia" w lipcu b. r. w teatrze narodowym w Sofii na rzecz dotkniętych wojną Polaków — ze wspaniałem powodzeniem (przeszło 8000 lewów dochodu wraz ze składkami), jak i żywa dyskusya na temat sprawy polskiej w całej prasie i bułgarskich kołach politycznych, nie wyjmując prezydenta ministrów, Dra Radosławowa. Dowód dał i sam prof. Penew, przyjmując godność przewodniczącego „Polskiego Biura Prasowego", jakie przed pół rokiem w Sofii powstało i które, dzięki jego gorliwemu poparciu, rozwija czynną akcyę.

List prof. Bojana Penewa do prof. M. Zdziechowskiego brzmi jak następuje:

Szanowny Panie Profesorze!

Przeczytałem artykuł bezimiennego autora w „Świecie" (z dnia 27/VI) — ironicznie zatytułowany „Kultura polska zbliża się do Bułgarów" — gdzie mowa o tem, jak źle została przyjętą w Sofii poetka polska, p. Nora Walicka-Bucewiczowa, która wybrała się tam celem wypowiedzenia kilku odczytów o Polsce i celem rozwinięcia akcyi ku zbliżeniu obu słowiańskich narodów.

Z jednej strony boleję nad tem, że Sofia okazała się tak niegościnną, z drugiej zaś przykro mi, że p. Walicka wyciągnęła z tego faktu zbyt pospieszne wnioski co do nas i naszego stosunku do Polski.

Dziwi mię bardzo, że p. Walicka udała się do Towarzystwa Słowiańskiego, którego przewodniczącym jest p. Stefan S. Bobczew. Gdyby była znała dzieje słowiańskiego kongresu w Sofii w r. 1910, gdyby było jej wiadomem zachowanie się tegoż kongresu wobec Polski i Polaków, gdyby nadto była wiedziała, jaką rolę odegrało na tymże zjeździe Sofijskie Towarzystwo Słowiańskie wraz z swoim przewodniczącym na czele, nie byłaby szukała pomocy u p. Bobczewa. Zachowanie się jego i jego słowa wcale mię nie dziwią. Stowarzyszenie to nigdy nie było zbyt przyjaźnie usposobione dla Polski, a przesadne jego tendencye rusofilskie dobrze są u nas znane. Nie mogę pojąć, dlaczego kolonia polska w Sofii nie poinformowała należycie p. Walicką o tem wszystkiem, aby ją ustrzedz przed rozczarowaniem i rozgoryczeniem. Obowiązkiem było tejże kolonii to uczynić. Członkowie jej, żyjący od dawna wśród nas powinni byli poradzić swej rodaczce, by nie udawała się do wspomnianego Słowiańskiego Towarzystwa, ani do Słowiańskiej Besedy, ani do Narodnej Biblioteki. Polacy sofijscy pamiętają bardzo dobrze, kto się ujął u nas za ich narodem w r. 1910 i powinni byli poszukać pomocy wśród szczerych przyjaciół Polski. Dlaczego nie zwróciła się szanowna autorka polska u p. Petka Todorowa, dobrze znanego wśród lwowskich kół literackich, przewodniczącego drugiego Stowarzyszenia Słowiańskiego w Sofii, które w rzeczywistości broni interesów polskich? — Być może, że kiedy p. Walicka przybyła do Sofii, p. Petko Todorow nie był tam obecny, — jednakże wstęp do Towarzystwa, któremu on przewodniczy, nie był wzbroniony.

Chciałbym podkreślić przedewszystkiem, że wspomniany artykuł zawiera pewne szczegóły, które mi się zdają przesadzone, że nie powiem już — nieprawdziwe. Najzupełniej niemożliwym mi się wydaje strach dwu bułgarskich profesorów, którzy mieli zadrżeć na myśl, że jakiś Polak może im pokazać portret Kościuszki. Również mało wiarogodnem mi się zdaje, jakoby p. Czilingirow radził był autorce, aby przy omawianiu polskiej literatury, ograniczyła się głównie do danych biograficznych. — W Bułgaryi nie jest wcale tak strasznie! Można mówić i o Kościuszce i o całej polskiej historyi; można rozstrząsać nie tylko biografię Mickiewicza, lecz i motywy jego utworów. W uniwersytecie sofijskim można zupełnie swobodnie miewać wykłady o polskiej historyi i literaturze, objaśniać szczegółowo dzieła pisarzy polskich w związku z warunkami duchowego i politycznego życia. Nikt w Bułgaryi nie myśli przeszkadzać temu, nikomu też nie wydaje się to strasznem i niebezpiecznem.

Lecz o wiele ważniejszą jest rzeczą, że w artykule w którym sama p. Walicka opowiada o pobycie w Sofii, spotykam kilka zupełnie błędnych uogólnień i sądów o Bułgarach. Na podstawie wrażeń, odniesionych z obcowania z pp. Bobczewem, Czilingirowem, jednym posłem i jednym redaktorem czasopisma dla dzieci (nazwiska dwu ostatnich nie są wymienione) polska autorka sądzi o całym narodzie bułgarskim, o całej naszej inteligencyi i wogóle o naszej kulturze. Wprzód zanim się bliżej zapoznała z bułgarską twórczością, pod wrażeniem egzaltowanych słów p. Grigoria Wasiljewa wobec sofijskiego korespondenta „Kurjera litewskiego", p. Walicka wyprowadza wnioski, że Bułgarzy żywią gorące, niepohamowane pragnienie zapoznania się z polską kulturą, — w spotkaniu zaś z p. Bobczewem przekonywa się, że pragnienie to bardzo szybko minęło i znikło bez śladu.

---

się w nim rysy pokazują, jednak dobry, komin szafiasty, pod którym ognisko z cegły, także i czeluście do pieca w inszym pokoju będącego. Okno w nim w ołów oprawne z szyb taflowych w ramach dębowych dobrych o dziewięciu kwaterach, trzy spodnie kwatery deszczkami stolarską robotą robionemi, niedobrze przystającemi, zapierzone, z których dwie przez lepienie świecy powypalane... Za tem oknem dwa węgary na krzyż kamienne bez kraty żelaznej. Ex opposito którego okna są drzwi na ganek wychodzące w odrzwiach kamiennych z gzemsem także kamiennym szafiastym, pod którym ocap napadniony, dębowe, dobre na dwoje otwierające się, stolarską robotą, na zawiasach esowych pobielanych i hakach czterech żelaznych, z zamkiem francuskim i kluczem, także z dwiema antabkami przy zamku mosiężnym i jedną zasówką u góry.

Po ponownej restauracyi na przybycie króla Stanisława Augusta w r. 1787 inwentarz z tegoż roku pisze o tym pokoju: „drzwi pojedyncze żelazem i blachą obite, olejno pofarbowane w drzwiach kamiennych, zamek nowy, na zawiasach i hakach, z zamkiem polskim zreperowanym. W tym pokoju jedno okno o 9. kwaterach w szyby małe w ołów oprawne, z wszelkiem okowiem. Posadzka kamienna stara, komin kamienny szafiasty, sufit z gzemsem zreperowanym, ściany obielone, i ławki w trzech częściach przy murze nowo dane. Drzwi na galeryę dziedzińcową zamurowane".

Srebrna sala.

Rewizya z r. 1665 wspomina w tej izbie okien sześć (3 na północ, 3 na południe), o dziewięciu kwaterach, ośmiu kwater niemasz, oprócz drewnianych, które są z ganku w oknach od dołu, insze kwatery naprawy potrzebują. Piec w tej izbie kaflowy wielki. W pułapie sztuki rzezane złociste, wszystkie całe. Służba (kredens) przez wszystką izbę aż do wierzchu z tarcic wielka, na której znać srebro stawało. Osób w tej izbie klijonych (sic) pięć (obrazy?). Szafa w murze bez zawarcia, paiżów (tarcz) pięć.

Rewizya z r. 1709 notuje tu: izba wszystka zawalona, wygorzała, w oknie tylko na dziedziniec krat żelaznych trzy.

Po naprawach z lat 1726—1729 znajduje rewizya z r. 1736 i 1739 srebrną salę w stanie odrestaurowanym: w odrzwiach kamiennych z gzemsem także kamiennym, kamieniarską robotą rżniętych, drzwi dębowe dobre, na dwoje otwierające się, stolarską robotą, na zawiasach esowatych pobielanych i hakach czterech żelaznych, z zamkiem francuskim niedobrym, reperacyi potrzebującym, bez klucza i dwiema antabkami przy zamku mosiężnemi, także z dwiema zasuwkami u góry i u dołu przy drzwiach żelaznemi. Do którego pokoju wszedłszy jest w nim podłoga z tarcic w środku dobra, w tafle, stolarską robotą, pod oknami zaś i przy drzwiach posadzka z kamienia ciosowego. Sufit gipsowy (w kilkoro porysowany i w dwu kątach ściany także porysowane ex opposito siebie). Piec z kafli pstro polewanych we trzy skrzynie, na fundamencie murowanym, z koronką u góry dobry. Okien w tym pokoju sześć, trzy ku Krakowu, a drugie trzy na dziedziniec wychodzące, które to trzy okna ku Krakowu wychodzące w ramach dębowych dobrych o dziewięciu każde kwaterach z szyb taflowych, o ołów oprawne.... Za temi oknami trzema po dwa węgary kamienne na krzyż bez krat żelaznych. Drugie zaś trzy okna, które na dziedziniec wychodzą, są także w ramach dębowych dobrych po dziewięć, każde jako i pierwsze kwater w sobie mające, u wszystkich kwater zawiaski, haczki i narożniki pobielane, obartele przy każdem oknie po trzy i małych po tyleż.... Za temiż wszystkiemi trzema oknami są po dwa węgary na krzyż kamienne i krata przy każdem żelazna jedna. W tymże pokoju jest stołów kwadratowych trzy na nogach także kwadratowych jodłowych dobrych, z których dwa pomierne a trzeci większy. Item krzeseł siwem suknem obitych sześć, u jednego gałek u dołu niemasz a inne dobre, item ław z drzewa jodłowego z poręczami tylnymi prostą ciesielską robotą robionych dwie.

Po ponownej naprawie na przybycie Stanisława Augusta w r. 1787 inwentarz z tego roku pisze o tej sali: drzwi podwójne dębowe, stare zreparowane i pokostowane w odrzwiach kamiennych, zamek nowy wpuszczony, na zawiasach esistych. W tym pokoju okien trzy o 9. kwaterach w szyby małe, w ołów oprawne z okowiem wszelkiem zreparowane, kolumn drewnianych z pilastrami murowanymi czteroma, sufit z ulkielem wraz ze ścianami sporządzony i wybielony, okna trzy na galeryę zamurowane, podłoga z tarcic nowo dana, stolików becowanych dwa, krzeseł z pokrowcami 12.

Z opisów tych widać, że jeszcze w XVII. wieku był w sali srebrnej stary Zygmuntowski pułap „sztuki złociste rzezane, wszystkie całe", pochłonął je dopiero pożar w 1702 roku. Kolumny drewniane dźwigające dotąd sufit tej sali wprowadzono przy restauracyi zamku przez biskupa X. Konstantego Szaniawskiego, bo wspomina je rewizya z r. 1787.

Przy przeróbce zamku na koszary austryackie po r. 1796 powyrzucano kominy, obramienia, nadproża. Za Rzeczpospolitej krakowskiej urządzano w tej sali koncerty, a w czasie jubileuszu Jana Matejki w r, 1883 urządzono w srebrnej sali wystawę jego dzieł za zezwoleniem wojskowości, która wówczas jeszcze zamek posiadała.

Dr Klemens Bąkowski.

W artykule wyrażone ironiczne zdziwienie, wobec takiej gwałtownej przemiany w stosunku Bułgaryi do Polski.

Zachowanie się p. Bobczewa, który powiedział otwarcie p. Walickiej, że w Tow. Słowiańskiem w Sofii niema miejsca dla polskich odczytów, że ono nie zajmuje się Polską i nie otrzymuje żadnych polskich pism, ani dzienników, a natomast chciał ją odesłać do „Alliance francaise“ — ponieważ Polacy byli zawsze bliżsi Francuzom, aniżeli Bułgarom. — w końcu żądanie jego, by nie była tak fanatyczną i mówiła po rosyjsku — całe to zachowanie się p. Bobczewa daje powód poetce do podkreślenia przed korespondentem „Świata“, (w ironicznym tonie), że Bułgarzy „pełni są przytem wykwintnej kultury, umieją być uprzedzająco uprzejmymi gośćmi, a w pierwszym rzędzie dla dam...“ Powiedziawszy tosamo bez ironii: Bułgarzy są bezmiernie szorstcy wobec obcych, szczególnie wobec pań, ich przesadzone, niewolnicze rusofilstwo każe im być przesadnie szorstkimi wobec Polaków. Toby był ogólny charakterystyczny rys Bułgarów, który szanowna autorka niespodziewanie odkryła.

Że Bułgarzy w rzeczywistości są takimi świadomie, dowodziła tego autorka — jak to wyraźnie jest zaznaczone w artykule o zachowaniu się p. Bobczewa... „To i m i e n i e m s w e g o n a r o d u zademonstrował w nader dobitny sposób p. Bobczew. były minister oświaty“. („Świat“, zesz.cyt. str. 7.). Za krok p. Bobczewa pani Walicka pociąga do odpowiedzialności wszystkich Bułgarów. Lecz cóż może mówić lub czynić p. Bobczew w imię naszego narodu i naszej inteligencyi? — Z jego zachowania się sądzi się o psychologii i uczuciach bułgarskiego narodu... Nie wierzę, aby zgodzili się z tem rozumowaniem Polacy sofijscy, a nie pragnąłbym wcale, by przyjęli je za słuszne i Polacy, którzy nigdy nie byli w Bułgaryi i nie znają naszych stosunków.

Rzeczywiści przedstawiciele naszego życia duchowego, twórcy bułgarskiej kultury, nigdy nie byli wrogo usposobieni względem Polski i obojętni wobec nieszczęśliwej jej doli. Może to poświadczyć znany w Polsce oryentolog, p. Jan Grzegorzewski, który od dawna żyje w Bułgaryi i tak wiele pisał o niej w Polsce; może to poświadczyć i lektor krakowskiego uniwersytetu Dr Tadeusz Stanisław Grabowski, który przed paru laty przebywał między nami, celem poznania języka i życia naszego, a taksamo i znany Wasz poeta Tadeusz Miciński, który w czasie wojny bałkańskiej spędził półtora miesiąca w Bułgaryi.

W duszy bułgarskiej inteligencyi nie masz żadnej nieprzyjaźni dla Polski. Przeciwnie, z giczna dola polskiego narodu; to też najszczepietyzmem odnosi się ona ku literaturze polskiej, mimo, że nie zna jej gruntownie. Znana jej jest, choć tylko w ogólnych zarysach, trarzej współczuje z jego nieszczęściami. Rzekłbym, że w duszy naszej inteligencyi tkwi jakaś utajona, niewyjaśniona skłonność ku Polsce—Polska dla niej jaśnieje w aureoli świętości, głębokiej poezyi, wielkiego, bezwzględnego nieszczęścia; uważa ją za uosobienie twórczego ducha, jaki niema sobie równego wśród innych narodów słowiańskich. Wśród czytającego naszego świata, nawet takiego, co tylko powierzchownie zapoznał się z polską literaturą, niejednokrotnie zdarzało mi się słyszeć zdanie: „rosyjska literatura jest różnorodna i nieskończenie bogata, lecz brak u niej tej mistycznej głębi, która jest tak znamienną dla polskiej poezyi“.

Dotknę i innych faktów, które odsłaniają istotny nasz stosunek do Polski. W r. 1910, kiedyto zjazd słowiański w Sofii oświadczył, że nie może zajmować się kwestyą polską, z pośród inteligencyi naszej odezwały się energiczne głosy w obronie polskiej kwestyi. Odezwał się przedewszystkiem największy poeta bułg. Penczo Sławejkow, który otwarcie oświadczył, że prawdziwi przyjaciele Słowiańszczyzny nie powinni wziąć udziału w kongresie, który ignoruje losy Polski. W obronie Polski wystąpili i dwaj inni pierwszorzędni pisarze bułg. Petko Todorow i P. Jaworow, a również i jeden z wybitnych naszych publicystów i działaczy społecznych Dr Kr. Rakowski. Podkreślić należy, że nie były to wcale przypadkowe protesty, solidaryzowały się z nimi wszystkie liberalne kierunki u nas, wyrażały one nie tylko sympatye całej naszej inteligencyi dla Polski, lecz i oburzenie jej, że słowiański kongres usiłuje zamknąć oczy wobec wielkiej krzywdy słowiańskiej, że ją chce przemilczeć i ominąć ze spokojnem sumieniem, zamiast zatrzymać się na niej przedewszystkiem. Protesty tych bułgarskich pisarzy i działaczy społecznych zaraz wówczas w r. 1910 zostały ogłoszone i zasługują na to, aby je przełożono na język polski. Wtedy możeby Polacy sprawiedliwszy i objektywniejszy wydali sąd o nas.

W Krakowie miałem szczęśliwą sposobność przedstawić Panu uczucia, jakie żywią Bułgarzy dla Polski. Przybyłem był do Waszej ojczyzny nie na to jedynie, aby się zapoznać z Waszą literaturą, lecz aby poznać i Was, Polaków, by nawiązać węzły do wspólnej pracy, wspólnemi siłami, dla kulturalnego zbliżenia i obcowania obu bratnich narodów. Jestem przekonany, że polska myśl artystyczna i filozoficzna okazałaby bardzo korzystny wpływ na naszą literaturę. Wasza poezya obfituje w motywy i kierunki, któreby odświeżyły treść bułgarskiej literatury; obfituje w formy, któreby wzbogaciły poczucie muzyczne bułgarskiego poety. Idealizm, który cechuje polską poezyę romantyczną, wniósłszy nowy prąd do naszej literatury, tak konieczny dla jej rozwoju i odświeżenia.

Lecz jakkolwiek słabym był dotychczasowy wpływ polski na nas, nie można powiedzieć, jakoby Polska była zupełnie obcą naszej literaturze. W bułgarskiej poezyi możemy odnaleść szereg faktów, które świadczą o wpływie polskim. Penczo Sławejkow znał poezyę Mickiewicza i już przed laty wielu w jednem studyum dał przegląd jego twórczości. Swoim „Panem Tadeuszem“ Mickiewicz znacznie wpłynął na naszego poetę. Ślady tego wpływu widoczne w najcenniejszem epicznem dziele Sławejkowa „Krwawa pieśń“. Przed kilku laty Sławejkow odwiedził Warszawę, gdzie pomnik Mickiewicza dał mu powód do napisania bardzo cennego, lirycznego utworu „Kapłan życia“. Wszystko to nas przekonywa, że duch i zarodnicze motywy w twórczości polskiego poety nie obce były Sławejkowowi. Jeden z dawnych znajomych naszego poety w wspomnieniach swoich opowiada, że jeszcze jako student w Lipsku, Sławejkow silnemu ulegał wrażeniu poezyi Mickiewicza. Powtarzam raz jeszcze, nie są to przypadkowe fakty. Dowodzą one jesno, że u nas nie brak sympatyi dla Polski, nie brak również pragnienia, byśmy się zbliżyli do niej i zapoznali z objawami jej duchowego życia.

W tonie rozgoryczenia i urazy pisze Pan, żeś miał dawniej silne pragnienie przybycia do Bułgaryi i przestudyowania jej życia, lecz teraz po owym epizodzie z p. Walicką, to życzenie Pańskie minęło. Sądzi Pan, że wyjazd Pański do Bułgaryi będzie stratą czasu. Ja nie sądzę tak. Z Pańskiem przybyciem do nas wzmocnią się węzły pomiędzy Polską i nami. Przekona się Pan, że Bułgarya nie jest taką, jaką przedstawił „Świat“ i że kulturalne zbliżenie pomiędzy Polakami i Bułgarami nie byłoby bez racyi i znaczenia. Zobaczyłby Pan, że dla takiego zbliżenia jest grunt w Bułgaryi. — Osiągnąć się jednak ono może stałą, wytrwałą i systematyczną pracą. W imię tego zbliżenia zapraszam Pana do wspólnej pracy i radzę nie zrażać się chwilowem niepowodzeniem lub nieuniknionemi w każdem poważnem dziele trudnościami.

Proszę przyjąć wyrazy szczerego poważania.
Ringgenberg, 2 lipca 1914 r.

Bojan Panew.

Z Wystawy Tow. „Sztuka“.

W ubiegłą niedzielę odbył się „vernissage“ tegorocznej wystawy Towarzystwa „Sztuka“, łącznie z Tow. „Rzeźba“. Obszerniejsze sprawozdanie z obu tych pokazów plastyki naszej zamieścimy niedługo, zaznaczając na razie, że sumaryczny ich przegląd wypadł interesująco, zadając kłam utartemu przysłowiu, iż „Muzy milkną wśród szczęku oręża“... — Kto widział obraz David'a pt. „Śmierć Marata“, malowany w czasie największej pożogi wielkiej Rewolucyi — będzie powątpiewać zawsze w prawdziwość powyższego przysłowia. Wprawdzie wystawa ta nie zawiera niczego, coby przypominało obecną wojnę, wszystkie niemal dzieła, jakie się na niej widzi, powstały w ciągu ostatniego roku i świadczą dobrze o żywotności naszej plastyki.

T. A x e n t o w i c z wystawił szereg obrazów o skali obszerniejszej niż zwykle, bowiem poza swymi typowymi pastelami, w dwóch pracach o treści rodzajowej przypomniał nutę swej najwcześniejszej produkcyi malarskiej. Jeden z nich przedstawia malowniczą scenę święcenia wody z życia Huculów („Jordan“) — drugi jest waryantem jednego z prawdziwych arcydzieł Axentowicza, które należy do zbiorów warszawskiej „Zachęty“ pt. „Oberek“. Techniką, stopniem barwności niezbyt natężonej i układem, oba te obrazy należą do epoki minionej już w naszem malarstwie, do czasów braci Gierymskich, Chełmońskiego i tow., za którymi — wyznaję, iż nieraz uczuwam żal, że już przeszły...

W pracach J. M e h o f f e r a widoczną jest pewna zmiana dotychczasowego sensu kolorowego. Barwy stają się w malowaniu Mehoffera coraz mniej natężone, bledsze, gobelinowe. — Z plastyka „przedmiotowego“ przechodzi Mehoffer coraz widoczniej w dekoracyjnego, ujmującego zjawiska niemal wyłącznie z punktu widzenia rytmiki ornamentacyjnej, zdobniczej. Obrazy J. M a l c z e w s k i e g o nie wykazują znaczniejszych różnic między tem co Malczewski produkuje dziś a dawniej. Znaczne natomiast zmiany widoczne są u W. W e i s s a, który reprezentowany jest pokaźną ilością prac na tej wystawie. Są one różne co do poziomu i wartości wysiłku artystycznego, niektóre jednak przedstawiają okazy najczystszej, najbardziej „bezinteresownej“ plastyki. Do takich należy przedewszystkiem studyum dziewczyny, czeszącej się przed lustrem i studyum, czy portret młodej kobiety w granatowej bluzce. Odznaczają się one wysokim stopniem artyzmu w opanowaniu przedmiotu i materyi i uprawniają do nadziei, że Weiss stworzy wreszcie „obraz“ godny jego talentu i tej umiejętności, jaką już posiada.

Prace L. W y c z ó ł k o w s k i e g o świadczą o niesłabnącej żywotności tego wielkiego i pięknego talentu malarskiego, który zachował dotąd świeżość i entuzyazm prawie młodzieńczy. Poprzednio przed wystawą „Sztuki“ wystawione graficzne rzeczy Wyczółkowskiego uderzały wprost kontrastem między niemi a otoczeniem, nietylko przez majsterstwo ich wykonania, lecz dziwną jakąś pogodę i beztroskę myśli promieniującej od tych rysunków, przedstawiających motywy ze „Starego miasta“ w Warszawie.

W pastelach T i c h y'e g o widoczną jest duża maestrya i wirtuozostwo techniki. To ostatnie wybija się jednak nazbyt na pierwszy plan ze szkodą innych wartości plastycznych w jego obrazach. Wirtuozowstwo techniki należy dziś do „vieux jeux“ i więcej kredytu znajduje dziś pewne, choćby świadome niedołęstwo, byle towarzyszył mu niewątpliwy artyzm i oryginalność. Jest to bezwątpienia „reakcya“, ale doprowadziły do niej niewątpliwie wszystkie przesady i nadużycia „wirtuozowstwa“.

Dopełniają dział plastyki „kolorowej“ tej wystawy obrazy G w o z d e c k i e g o, J. B u k o w s k i e g o, St. F i l i p k i e w i c z a, F a ł a t a i in.

W dziale „Rzeźby“ urządzonym gustownie przez L. P u g e t'a, zwracają uwagę rzeźby K o n i e c z n e g o, interesująca plastyka L. P u g e t'a, p. B o h d a n o w i c z-K o n c e w s k i e j, P o p ł a w s k i e g o i G e t t e r a. **W.**

Bóg się rodzi!

Bóg się rodzi — Moc truchleje,
Kiedy gwiazda wschodzi,
I nam gwiazda też jaśnieje
I nam — Bóg się rodzi!
Jak w przedwieczu Anioł biały
Zwolnił Piotra z oków,
Nam anielskie zaszumiały
Skrzydła pośród mroków.
Bóg się rodzi!... Z każdej piersi
Krzyk kolendą wzlata,
Boć wśród ludów — my najpierwsi
Męczennicy świata!
Wyglądając nowej Jutrzni
Co na niebie wschodzi
Zawołajmy głośniej, huczniej,
Że Bóg nam się rodzi!...
W bratniej zgodzie i miłości
Staniem w świątyń progu,
A kto poległ dla wolności,
Ten najbliższy Bogu!
Cześć cierpiącym, którzy z trudu
Legli wśród bezdroży,
I cześć tobie Polski ludu
Przy kolebce Bożej.
Wszystkie wole — wszystkie siły
Złączyć nam się godzi,
By kolendą odzwoniły
Że Bóg nam się rodzi!

Ida Pilecka.

KRONIKA.

Kraków, dnia 24 grudnia.

Wśród pomyślniejszych niż w roku zeszłym warunków spędzamy święta. Inny panuje nastrój w mieście niema przygnębienia, jakie malowało się na wszystkich twarzach, gdyśmy składali sobie życzenia „spokojnych świąt“. Nad miastem pełnili straże lotnicy, wpatrując się bystro, czy nie nadpływa niepokojący ptak, a z oddali dochodził nas huk armat z pod Łowczówka. Zabite deskami witraże kościoła Maryackiego i fruwające białe sztandary hagskie z wieżyc kościołów i gmachów dopełniały obrazu minionych wigilijnych chwil. Na ulicach pustki, tu i owdzie tylko oświetlone choinką okna zdradzały pozostałą w mieście ludność, którą uchroniły zarządzenia o ewakuacyi. Dzisiaj inaczej wygląda miasto, przepełnione mieszkania i hotele świadczą o oddalającym się coraz bardziej terenie wojny, tylko wschodnie nasze kresy zajęte są nawałą, a ludność ich odcięta lasem bagnetów rosyjskich, wyczekuje chwili wyzwolenia i złączenia ziem polskich w nierozerwalną całość. Wyczekujemy wieści z pod Tarnopola, Jazłowca i Czortkowa, ostatnich pozycyi bronionych silnie przez cofające się wojska najezdcze, a zapowiedziany powrót Banku krajowego do Lwowa i zniesienie ściślejszego okręgu wojennego, do którego wliczony był Lwów, świadczą, że dla stolicy kraju rozpoczyna się nowa, spokojniejsza niż dotychczas, era, na którą swem mężnem zachowaniem się i przejściami, jakie nastręczył najazd, zasłużyła.

Złączeni jedną myślą i pragnieniem z braćmi naszymi z Warszawy i Lwowa ślemy im życzenia, by ciężkie chwile, jakie jeszcze przeżywamy, jak najprędzej minęły, by promieniować zaczęły z nich wszystkie organizacye, stworzone dla odbudowy zniszczonych ziem, a tam, gdzie panoszy się nędza zakwitł dobrobyt, jako przepowiednia naszych wysiłków, które dziejowe zapasy przyniosą nam w zasłużonej dani.

Z rzewną pieśnią kolędy mkną do Pana Zastępów modlitwy, których spełnienia z pokorą i ufnością oczekujemy, przez łzy matek, opłakujących nowe kurhany bohaterów, ścielących się na olbrzymim terenie wojny, jęki rannych i chorych żołnierzy naszych, rozbrzmiewające w setkach szpitali, złączone w jeden akord modłów dla wskrzeszenia Tej, co nie zginęła. Myślą naszą przenosimy się do śniegiem pokrytych rowów strzeleckich, ziemnych mieszkań naszych braci, spędzających tam pamiętną w naszych dziejach Wilię, gdzie kolęda „B ó g s i ę r o d z i“ rzuca wśród huku dział i pękających szrapneli, pieśń potężną, bo zapowiadającą nam nowe życie i zabliźnienie poiesionych ofiarnie ran.

Z miasta

Wszystkim Szanownym Prenumeratorom, Czytelnikom, Przyjaciołom i Współpracownikom naszego pisma z okazyi Świąt Bożego Narodzenia składamy serdeczne życzenia.

Następny numer „Głosu Narodu“ wyjdzie w poniedziałek rano o zwykłej porze.

Z ruchu przedświątecznego. Okres przedświąteczny, szczególnie ostatnie dni poprzedzające święta Bożego Narodzenia zaznaczały się zawsze w całem mieście nadzwyczajnie wzmożonym ruchem we wszystkich prawie gałęziach handlu, zwłaszcza zaś w handlu i przemyśle spożywczym. Dla wielu kupców i przemysłowców przedświąteczny tydzień stanowił okres prawdziwego żniwa, z którego wyników pokrywali niedobory innych miesięcy.

W bieżącym roku stosunki inaczej się ułożyły. Wiele sklepów, które w innych latach w tym czasie były przepełnione, obecnie świeci prawie pustkami; handle spożywcze, jakkolwiek liczniej odwiedzane, wykażą z pewnością znacznie mniejszą frekwencyę publiczności, niemniej przemysłowcy, produkujący środki spożywcze i odzieżowe stwierdzają zanik popytu. Szerokie warstwy ludności, przygniecione szaloną drożyzną, zmuszone są zaniechać prawie zupełnie zakupów świątecznych i ograniczyć swoje wydatki do normalnego zaspokojenia najkonieczniejszych potrzeb życiowych. A tysiące pozostanie w naszem mieście takich, którym i na to środków nie stanie, którzy bodaj czy kawałek wojennego chleba mieć będą na wigilijną wieczerzę.

Na ogół zatem wigilia tegoroczna będzie bardzo skromnie obchodzoną, w setkach domów braknie rzęsiście oświetlonych drzewek, przy wieczerzy nie będzie tradycyjnej ryby, bo cena jej stała się niedostępną dla uboższej ludności, co najwyżej zastąpi ją śledź lub moskal — ten z beczki. Braknie też podarków, które Anioł grzecznej dziatwie znosił, tych bowiem, którzy je kupowali, ojców i starszych braci, przeważnie w domu niema, wielu z nich już nie wróci, inni stoją w obliczu wroga, zaledwie oczyma duszy zwrócą się w te strony, gdzie najbliżsi, sercu najdrożsi, pozostali. I smutnym będzie ogólny nastrój wigilii i największego święta radości, niema bowiem prawie w Krakowie polskiej rodziny, którejby straszna wojna nie zabrała z jej łona kogoś, który był dla niej ukochanym i drogim.

Ofiarność naszych włościan dla Warszawy. Ciężka dola dziesiątków tysięcy ludności warszawskiej pozbawionej od szeregu miesięcy najpierwszych potrzeb życiowych, nietylko znalazła serdeczny oddźwięk w sercach inteligencyi i warstw średnich naszego kraju, czego dowodem wspaniały wynik składek, zainicyowanych przez nasz dziennik — ale i w sercach ludu polskiego w Galicyi. Dowodem tego rezultat dotychczasowy składek włościańskich, złożonych do redakcyi „Piasta“. Cyfra składek dosięgła do dnia 19. bm. **9962 kor 29 hal.**

Zmiany w parafii polskiej w Chocni. W dniu dzisiejszym powróciła z baraków choceńskich do Krakowa ostatnia grupa ewakuowanej przed rokiem ludności naszego miasta. Tem samem powrócili więc z baraków wszyscy uchodźcy krakowscy z wyjątkiem tych nielicznych, którym wstępu do okręgu twierdzy wzbroniono.

Wobec powrotu ludności ewakuowanej książę-biskup Sapieha odwołał z Chocni kapłanów, którzy tam wykonywali opiekę duchowną nad uchodźcami. Jak wiadomo — od chwili utworzenia kolonii barakowej w Chocni, tj. od listopada ubiegłego roku, sprawowali tam pieczę duszpasterską XX. Karol Słowiaczek, jako proboszcz i Juliusz Małysiak. W styczniu br., wskutek pomnożenia się ludności w barakach zamieszkałej do szesnastu tysięcy, książę-biskup Sapieha wysłał do Chocni jeszcze dwóch kapłanów, X. Aleksandra Obrubańskiego i X. Wojciecha Szemika, z których X. Obrubański z powodu choroby powrócił w czerwcu br., pozostali zaś trzej księża obecnie wracają do pracy duszpasterskiej w naszem mieście.

Pieczę duchowną nad ludnością pozostałą w barakach objęli na życzenie księcia-biskupa XX. Misyonarze: X. Karol Michalski, który sprawował będzie obowiązki proboszcza parafii polskiej w miejsce X. Słowiaczka i X. Jan Paszyna. W barakach przebywają obecnie chwilowo głównie robotnicy sezonowi, wracający z Rzeszy niemieckiej i Danii, zatrzymani tam celem załatwienia formalności legitymacyjnych i paszportowych.

Echa...

Tym razem życzenia:

W roku okropności i drożyzny trudno jest życzyć, lecz jedno powinszowanie dla wszystkich jest odpowiednie. Oto — życzę Wam, Szan. Prenumeratorzy stali i zniżkowi, Czytelnicy i Czytelniczki, Sub-abonenci, Sympatycy i Malkontenci — abyście w czasie tych świąt, bodaj raz — zaśmiali się, szczerze, swobodnie!

Choćbyście na wilię mieli jedną sardynkę i samą kartę chlebową, możecie je sobie osłodzić i uprzyjemnić, zaśmiawszy się z głębi serca. To was pokrzepi duchowo i uczyni panami rzeczywistości — ludźmi. Czemże bowiem różni się człowiek od drzewa, worka węgli, magistratu, nieboszczyka, karabinu maszynowego? Tem, że się śmieje. Koń nawet śmieje się czasem w — przysłowiu, a krokodyl płacze ze śmiechu — u Kiplinga.

Wy zaś jesteście ludźmi, więcej, Czytelnikami „Głosu Narodu“!

Choć raz, choć mały razik!

Na śmiech nie ma jeszcze podatku, ani taryfy maksymalnej; dostępny jest wszystkim, a w święta konieczny, byście nie przebyli ich jak bohater jednej z powieści mojego przyjaciela, co przez całe święta wisiał na szubienicy (bohater — nie przyjaciel).

Nie prawdą jest jakoby śmiech był oznaką pustoty i wykluczał powagę; człowiek, który śmiać się nie umie, jest beznadziejny!

Śmiech jest najtańszą bakalią tegorocznej wilii, jasną świeczką, może jedyną, na dzisiejszej choince, niewinną jak ona i jak ona bodaj dorocznym gościem. Słodszy jest od figi, ułatwia trawienie wojennych potraw, a co najważniejsza — nic nie kosztuje!

W braku powodu do śmiechu, zaśmiejcie się dla niego samego, bo śmiech jest wytchnieniem umysłu, niedzielą mózgu, spiralnym wzlotem nad „padół“, szarpnełem zdrowia.

Można utracić nogę, rękę, kamienicę, narzeczoną, apetyt, ale gdy śmiech nam zostanie, jeszcześmy nie straceni dla świata!

Polska, Rejowska dusza niechaj się w Was rozprostuje bodaj na wigilijną chwilę, a w błysku tej gwiazdki wesołości — dojrzymy może tę drugą—nadziei...

Tego Wam życzy — **s. now.**

Z kraju, z Polski i ze świata.

Polska szkoła na Wołyniu. „Gaz. Polska“ pisze: W nadbużańskiej okolicy Wołynia ludność polska przeważnie została na miejscu, ruską uprowadził nieprzyjaciel. Dwory przeważnie świecą pustkami, z okolicznych właścicieli jedyne Zygmunt hrabia Krasicki pozostał na miejscu. Polaków tu jest dużo. Okolica na ogół wziąwszy malownicza, brzegi Bugu ze strony wschodniej piękne i gdyby nie wyludnione wsi i zgliszcza, byłoby tu znośnie. Mrozy sięgały już 18stopni, ale śniegu było niewiele, dlatego też komunikacya utrudniona, bo drogi są bardzo złe. Za to lasów jest dużo i rola znakomita. Komendant etapowy p. Justyn Sokulski rozwija nader energiczną działalność w rozmaitych kierunkach. Tak np. zajął się wykopywaniem kartofli na obszarze przeszło 230 klm kwadr., poczem zarządził młockę zboża. Niezależnie od czynności czysto gospodarczych założył on w Uściługu 2-klasową szkołę polską, która znalazła wielkie uznanie ludności. Zapisało się do niej przeszło 200 dzieci, z czego 70 prc. rz. kat., 25 prc. żydów i 5 prc. prawosławnych, przeważnie byłych unitów. Uczą w tej szkole: miejscowy proboszcz, były gorzelnik ze dworu, wyjątkowo inteligentny człowiek i nauczyciel żydowski. Brakowi podręczników zaradzono w ten sposób, że zostały one sprowadzone z Krakowa. Szkoła w Uściługu jest wogóle pierwszą szkołą polską na Wołyniu, gdyż dotąd nawet Włodzimierz nie zdobył się na nią. Teraz za przykładem Uściługu idą inne miasteczka nadbużańskie, między niemi Dubienka, słynna bitwą Kościuszki w r. 1792.

Polka w „Czerwonym Krzyżu“ bułgarskim. Żona ambasadora austr. w Sofii, hr. Tarnowska pełni funkcyę pielęgniarki w szpitalu „Czerw. Krzyża“ w Sofii i wzięła udział w przyjęciu przez rząd bułgarski pociągu ratunkowego, ofiarowanego przez austr. ministerstwo wojny.

Pieśń winiarza. W „Voss. Ztg“ zamieszcza p. Walter Harlan pt. „Moja winnica“ ładny wiersz, opiewający pracę nad uprawą wina. Każda zwrotka kończy się następującym refrenem:

Ujmuję kielich, wznoszę go radośnie.
I dzięk gorący zasyłam do nieba:
Że taki trunek rodzi nasza gleba,
Że on nie w Anglii rośnie!“

REPERTUAR TEATRU MIEJSKIEGO.

W sobotę dnia 25 grudnia o godz. 3 popołudniu „Ciotka Karola“, farsa w 3 aktach Brandona.

W sobotę dnia 25 grudnia o godz. 7 wieczór: „Betleem polskie“, jasełka w 3-ch aktach L. Rydla.

W niedzielę dnia 26 grudnia o godz. 3 popoł. „Szalona dziewczyna“, komedya w 4-ch aktach P. Gavault'a.

W niedzielę dnia 26 grudnia o godz. 7 wieczór: „Ćwiartka papieru“, komedya w 3 aktach Sardou.

REPERTUAR TEATRU LUDOWEGO.

Sobota 25 grudnia o godz. 3.30 popoł. „Królowa przedmieścia“, wieczorem o godz. 7.30 „Wesoła przekupka“.

Niedziela 26 grudnia o godz. 3.30 popoł. „Warszawa w nocy“, wieczorem o godz. 7.30 „Mama teatralna“.

Przed kampanią salonicką.

Wązka przestrzeń ziemi helleńskiej, zamknięta od północy granicą serbską, a od południa zatoką salonicką, stale koncentruje na sobie ogólną uwagę. Po wyparciu gen. S a r r a i l a z serbskiej Macedonii rozwój dalszych operacyi wojennych na froncie bałkańskim zatrzymał się niejako na „martwym punkcie“ i mimo różnych mniej lub więcej senzacyjnych, produkowanych najczęściej przez prasę włoską wiadomości, brak wszelkich autentycznych wiadomości o istotnym stanie rzeczy po obu stronach dolnego Wardaru. Można jedynie uważać za fakt, że angielsko-francuski korpus ekspedycyjny otrzymuje stale wzmocnienia, i że wydatną pomocą dla niego będą oddziały onegdaj wycofane z Gallipoli. Nic natomiast nie wiemy o właściwej działalności wojsk niemiecko-bułgarskich, których ruchy, ugrupowania i zamiary pokryte są tajemnicą.

Wyjaśnia się natomiast, wnosząc z głosów prasy zagranicznej, stanowisko Grecyi. Hellenowie rozdzielili swoją neutralność między obie strony wojujące i prawdopodobnie w razie przekroczenia granicy greckiej przez zwycięskie, idące od północy wojska, zadowolą się protestem, tak, jak to uczynili u wstępu salonickiej imprezy czwórporozumienia.

Według wszelkich danych, przekaże Grecya stronom wojującym przestrzeń zawartą między linią kolejową S a l o n i k i—V o d e n a, obszar W a r d a r u tudzież pasma górskie K r u s a-B a ł k a n i B e s i k-D a g do dalszego rozwoju operacyi zmierzających do uderzenia na Saloniki i obrony tychże.

Zachodzi jednak pytanie, czy państwa centralne i Bułgarya wogóle uznają konieczność podjęcia akcyi przeciw Salonikom. Zagadnieniem tej zajmuje się między innymi znany wojskowy krytyk niemiecki major M o r a t h, którego rozumowanie poniżej streszczamy.

Gdyby państwa centralne pozostawiły w rękach swych przeciwników Saloniki z ich obwarowaniami, to tem samem użyczyłyby im prawdziwej bramy wypadowej u zbiegu granic Serbii, Bułgaryi i Turcyi. Dla dokonania uderzenia na południową Macedonię mieliby Anglicy i Francuzi do przebycia jedynie 50 km. Wypad w terytoryum bułgarskie utrudniają wprawdzie niezbyt łatwe do przebycia góry graniczne, jednak odległość dzieląca Saloniki od wstępu w bułgarski obszar rzeki Strumy wynosi zaledwie 100 km. Wreszcie turecki obszar graniczny na wschód od M a r i c y, oddalony jest od Salonik wprawdzie około 300 km., jednak przebycie tej przestrzeni ułatwia linia kolejowa S a l o n i k i—S e r e s. Nie można również pominąć wzajemnej łączności operacyi na Gallipoli z grą wojenną koło Salonik, z którego to względu musi się usunąć wszelką możliwość ewentualnego pochodu w obszar na wschód od Strumy.

Z tych wszystkich słusznych zresztą rozważań wynika zdaniem majora M o r a t h a s t r a t e g i c z n a k o n i e c z n o ś ć odcięcia Salonik od wschodu, północy i zachodu i zniszczenia obecnej podstawy operacyjnej angfielsko-francuskiej floty w Salonikach.

W przeciwnym razie nad linią łącznikową B e l g r a d—K o n s t a n t y n o p o l wisiałaby stale groźba przerwania jej, a tem samem utracenia owoców tak wielkim trudem okupionego sukcesu.

Wiadomości telegraficzne

„Głosu Narodu“ z dnia 24. grudnia 1915.

Na grecko-albańskiej granicy.

Frankfurt. (Tel. pryw.) „FrankfurterZeitung“ donosi z Aten, iż wobec rozpowszechnionych przez prasę czwórporozumienia wiadomości o krwawem starciu między patrolami greckimi a bułgarskimi koło K o r i c y (w północnym Epirze), podczas którego po obu stronach padło wielu zabitych i rannych, ogłasza rząd grecki, iż na a l b a ń s k i e m terytoryum rozwinęła się wprawdzie akcya, lecz obustronne straty ograniczyły się jedynie do rannych. Porządek został przywrócony.

Okręty rosyjskie w Warnie?

Wiedeń. (Tel. pryw.) Jak donosi „Neue Freie Presse“ z B u k a r e s z t u, torpedowce rosyjskie ostrzeliwały w dalszym ciągu W a r n ę, a następnie ominąwszy założone miny, wtargnęły do portu warneńskiego. Wiadomość ta nie znalazła dotąd urzędowego potwierdzenia.

Ruchy wojsk rosyjskich.

Bukareszt. (Tel. pryw.) Na wybrzeżu morza Czarnego rozwijają się żywe przesunięcia wojsk rosyjskich. Z Odesy zawinęła do ujścia D u n a j u znaczna ilość statków, zapełnionych wojskiem.

NADESŁANE.

Nakładem Wydawnictwa „Głosu Narodu“ Sp. z Ogr. odp. Redaktor odpowiedzialny i kierujący Roman Woyczyński. Drukarnia „Głosu Narodu“ w Krakowie pod zarządem Romana Merka.